№ 20. Warszawa, dnia 6 (18) Maja 1878 roku.



# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).



## Kilka uwag o wychowaniu dzieci.

Kwestyą najbardziej żywotną w każdym czasie i wśród wszelkich okoliczności, jest i będzie zawsze kwestya dotycząca wychowania dzieci. „Nie dość jest uczyć, lecz trzeba nauczyć, mówi poważny metodysta. „Niedość jest nauczyć ale trzeba takie dać wychowanie, ażeby nauka prawdziwe owoce wydała, zdrowe, bez skazy i zarazy,“ tak mówi światły pedagog, a z nim wiele dzieł w tym celu i kierunku wydanych i pouczających różnych sposobów wychowania. Ale jak lekarstwo nie może być zastosowane do wszystkich chorych choćby jedną chorobą nawet dotkniętych, tak i dzieje się z przepisami wychowania domowego, którego prawidła nie jednakowym sposobem mogą być do dzieci zastosowane. Jeden organizm jest dość silny, bo wytrzymuje potężniejszą dozę medycznego przyrządu, drugi albo tylko połowę jej mógłby wytrzymać, lub nawet zupełnie innego środka wymaga. Jedne dzieci potrzebują tego, co zupełnie przeciwnie na drugie oddziaływa, a jak różnorodne są usposobienia dzieci, tak środki wychowania domowego winny być różnorodne, bo nie znamy nic smutniejszego w skutkach, jak zastosowanie ze strony rodziców lub nauczycieli nieodpowiednich sposobów postępowania, niezgodnych z usposobieniem wychowańców. Najgorszym z nich jest niezaprzeczenie rodząca się w dziecku hypokryzya, która uczy przedewszystkiem kłamstwa, będącego, według najelementarniejszych pojęć pedagogicznych, źródłem wszystkich innych wad, rozwijających się w młodocianym wieku i zamieniających ją niestety! w nałogi prawie niepodobne do wykorzenienia.

Nieraz słyszymy zdania nawet ludzi poważnych, specyalnie wychowaniu młodzieży się poświęcających: „Nie trzeba pobłażać dzieciom, bo zaprawia się je do lekceważenia swych obowiązków.“ Lecz czy zasada ta, pod każdym względem wielka, bo prawdziwa, została należycie przez pedagogów wyjaśniona? Czy można podciągnąć jej myśl pod pewną ilość paragrafów, na których opierając się ściśle pedagog, czyto będzie ojciec, matka, nauczyciel lub nauczycielka, nie ulegnie błędom, może nigdy już w przyszłości niepowetowanym? O tem powątpiewać żamy się wątpić bezwarunkowo. Doświadczenie uczy nas, że ile serc dziecinnych i umysłów młodocianych, tyle prawie wręcz przeciwnych sobie usposobień. Słusznie więc mówią pedagogowie: „Nie trzeba dzieciom pobłażać“ lecz na tem zasadza się cały rozum pedagogiczny, jak tę ogólną maksymę do każdego usposobienia odpowiednio zastosować.

Przyjmujący dzieci do szkół publicznych egzaminują je z tego, co z nauk umieją, wcale nie egzaminując serc i umysłów ze strony odebranego domowego wychowania, a dlaczego? Bo przy publicznem, nie wychowaniu, tam go już nie ma, ale odbieraniu tylko nauki, inaczej przy wykształceniu umysłu, pod względem wiedzy, strona wychowania pozostaje na drugim planie, ba, nawet śmiało wyrzec możemy, jest całkowicie zaniedbana. Tam są ogólne przepisy karne, którym kilkaset młodzieńców obojej płci podlega bez względu żadnego na serc ich usposobienie i na te dane moralnego wychowania, jakie z domu przynieśli. To też śmiało mamy prawo wyrokować, że dziecię oddane do szkół publicznych w 10 roku życia, już powinno przynieść z sobą potężne zasoby wychowania domowego, ugruntowanego silnie tak w umyśle jako i sercu, a których kierownikiem muszą być aż do wieku tak zwanego dojrzałym, tylko rodzice lub nauczyciele domowi. O ile zdobywać może wiedzę w zakładach publicznych, o tyle wychowanie choćby najgruntowniejsze zaszczepione w domu, narażone jest na wielkie niebezpieczeństwo, jeśli czujne oko pedagogiczne domowe, od serc młodzieńczych odwrócimy z chwilą wejścia dziecka na naukę do zakładu publicznego. Iluż ojców lub matek usłyszymy boleśnie skarżących się na dzieci swoje, że zanim weszły do szkoły kłamać nie umiały, a obecnie kłamstwo stało się jakby drugą w nich naturą, że nawet w najdrobniejszej okoliczności prawdy od synka lub córeczki dowiedzieć się nie można. Czy sądzicie szanowni rodzice, że to nauczyciele lub nauczycielki publicznego zakładu za kłamstwo waszych dzieci winni być odpowiedzialni? Nie! winujcie siebie samych, zwaliwszy z siebie ciężar kształcenia umysłu, zapomnieliście, że na nic nie przyda się żadne choćby najwyższe wykształcenie, jeśli takowe nie będzie oparte na wychowaniu religijno-moralnem. W tem nie ugruntujecie waszych synów i córki, jeśli zaniedbacie kształcenia ich serc młodzieńczych, skłonnych zawsze do nowych wrażeń, niestety! tak różnorodnych, często bardzo niebezpiecznych w zakładach publicznych, gdzie przychodzą dzieci z rozmaitemi pojęciami religijno-moralnemi, lub co gorsza z żadnemi. „Nie ten kto wiele umie, ale ten kto umie co potrzeba, jest mądry.“ Od pedagoga kierującego domowem wychowaniem nie wielkiej i rozlicznej wiedzy na polu naukowem w rozmaitych jego kierunkach, ale wielkiej i rozlicznej wiedzy w dziedzinie pedagogiki i metod się wymaga. A kto zajmował się kiedy wychowaniem domowem, z doświadczenia wie, że zadanie to niełatwe. Umieć rozmawiać z dziećmi i tym najskuteczniejszym sposobem prowadzić je do nauki, czyli do kształcenia ich rozumu i serca, to podobno godziłoby się nazwać, jak pewny pedagog o to się dopomina, najwyższą mądrością. Każde dziecko z natury swej jest koniecznie ciekawe, ale o ile rade o wszystkiem wiedzieć zkąd się rzecz jaka wzięła, do czego służy i jaki jej koniec będzie, o tyle znuży się szybko i zniechęci, jeśli jasno, przystępnie, czyli odpowiednio do rozwoju jego umysłu, rzeczy nie będzie miało przedstawionej. Umieć zatem trafiać

do przekonania dzieci, umieć przedstawić im każdą choćby z pozoru trudną do pojęcia rzecz sposobem najjaśniejszym, czyli jednem słowem, umieć każdy przedmiot umysłowy dziecku uzmysłowić, powinno być zadaniem najważniejszem każdego domowego nauczyciela. Dlatego też od kształcenia zmysłów, a szczególniej wzroku i słuchu w dzieciach, każdy uczący, jak tego żąda pedagogika, naukę swą winien rozpoczynać, bo przedewszystkiem należy przyzwyczaić dzieci, żeby umiały patrzeć i widzieć, słuchać i słyszeć.

Słyszymy nieraz krzyżujące się z sobą zdania: dopóki dziecko nie skończy lat 7-miu, nauki z niem rozpoczynać nie można. Jakiż to fałsz pedagogiczny! Jaki grunt sobie do siewu przygotujemy, w zaraniu taki mieć będziemy. Jeśli go dobrze uprawimy, to ziarno weń wrzucone nie chwasty i głogi, ale piękne i obfite zboże urodzi. Skoro tylko dziecko zacznie rozpoznawać naokoło siebie przedmioty, już nauka jego się rozpoczyna. Matka naprzykład idzie z czteroletnim chłopczykiem lub dzieweczką do kościoła, przyklęka, oddaje się pobożnie dziękom i prośbom do Boga, a dziecko jej przeszkadza, ciągnie ją za suknię, bo się niecierpliwi, bo wolałoby biegać, niż spokojnie stać, klęczeć, lub siedzieć w kościele; jakże matka wtedy postąpić powinna? Dziecko jej zaledwie dopiero zaczyna się rozglądać. „Pobłażać się nie godzi, bo zaprawia się dziecko do lekceważenia obowiązków" prawda, święta prawda, więc za to, że czteroletnie dziecko było niesforne w kościele nie dać mu przyobiecanego piernika, lub ciasteczka? Nie można, bo zamiłuje raz na zawsze bardziej piernik lub ciastko, niż dom Boży. Może nie wziąć je za karę na przechadzkę, lub nie pozwolić biegać po ogrodzie, łące lub po podwórzu? Nie można, bo w przyszłości będzie miłowało spacery i publiczne zabawy, z zaniedbaniem się w obowiązkach chodzenia do domu Bożego. A może, co byłoby rzeczą najgorszą, nie brać je z sobą na drugi raz do kościoła? Nigdy, bo dziecko woli swobodnie się bawić, niż bezmyślnie i bezczynnie przepędzić półgodziny w kościele, a ztąd wyradza się z pierwszego już dzieciństwa obojętność do rzeczy religijnych i zaniedbywanie się w obowiązkach chrześciańskich. Matka jest najpierwszem narzędziem woli Bozkiej, dającem nietylko życie fizyczne swemu dziecku, ale i moralne. Od niej lub od jej zastępczyni nauczycielki, odbierać dziecko powinno pierwsze zasady wychowania religijno-moralnego. Ona zanim wprowadzi dziecię już rozwijające się we władzach umysłowych, do domu Bożego, uważać sobie powinna za święty obowiązek wyłożyć mu jasno gdzie idzie, do kogo i jak się tam zachować powinno. Najczęściej matki i nauczycielki dają szczegółowe już nawet czteroletniemu dziecku instrukcye zachowania się w towarzystwie innych dzieci, postępowania grzecznego, przyzwoitego, gdy biorą je z sobą w odwiedziny do znajomych, a pospolicie zaniedbują tychże szczegółowych instrukcyi, gdy wybierają się z niem do miejsca modlitwy.

*(d. n.)*

# JEZIORA

(podanie litewskie).

### Panu Aleksandrowi Tyszyńskiemu.

Oto — jeziora sinieją w oddali;
Bagno dokoła, woda ciemna, brudna,
I żadna łódką po tych jezior fali
Śmiało nie przemknie, bo żegluga trudna.

Iłowo, Czarne, Streszniewo i Żada —
Takie tych jezior są u ludu miana —
A wieści głoszą i lud nasz powiada,
Że te jeziora — to własność szatana.

Dziwneż bo dziwy i straszne zjawiska
Widzą tu starzy, spotykają młodzi;
Nieraz tu dyabeł uwodził w bagniska
Starych i młodych i nieraz uwodzi.

Lecz wśród tych jezior jest Święte jezioro,
Woda w niem czysta, na dnie złote żwiry;
W niem to i księżyc nocną błyszczy porą,
Na brzegach z kwieciem igrają zefiry.

Tego jeziora złe się duchy boją,
I chcą je wcielić do swego władania;
Lecz się przed siłą nigdy nie ostoją,
Co je przed nimi broni i osłania.

I czemuż jedno w pośród jezior wielu
Wolne od złego i Świętem nazwane?
Chcesz wiedzieć? — słuchaj, dobry przyjacielu,
Ja ci opowiem podanie słyszane.

---

Kiedy Jagiełło, kniaź Litwy pogańskiej,
Był na tron Polski wezwanym,
I błysło światło wiary chrześciańskiej
Nad naszym ludem zbłąkanym,

Wówczas zgasł ogień w gaju Świętoroga,
Ów Znicz — a naród nasz stary,
W Chrystusie uznał prawdziwego Boga,
We krzyżu godło swej wiary.

Krywe-Krywejte z bożyszczami Litwy,
Schronił się w zamku Kiernowie,
A lud ochrzczony niósł swoje modlitwy
Bogu wszechświatów — Jehowie.

Wówczas to poczet z Lachów i z Litwinów,
Po świętej w Wilnie modlitwie,
Z Miednik przez Krewo, Horodek, Dołhinów,
Szedł i chrzcił naród po Litwie.

Lecz gdy zasłyszał lud naddźwińskiej strony
O tym krzyżowym pochodzie,
Wraz chwycił bogi i biegł przerażony
W te lasy, ku jezior tych wodzie.

I tu się schronił i osiadł taborem,
Modląc się u swych ołtarzy;
Bo każda gmina nad każdem jeziorem,
Stawiła bóstwo na straży.

I mówił gminom Zwibój, kapłan stary:
„Bracia! nie traćmy wesela!
Perun strzedz będzie naszej świętej wiary,
A Lachów gromem wystrzela.

Chociaż na Rusi lud zrzekł się swej wiary,
Choć Połock nowej stolicą,
Choć Wilno Lachy zajęli przez czary,
Lecz nas w swe szpony nie schwycą.

Patrzcie nad Wilnem piorunowa chmura:
Niechaj drżą nasi wrogowie!
I krzyknął „hura!" lud powtórzył „hura!"
Niech żyją, niech żyją bogowie!"

Gdy tak się dzieje — procesya z Litwy,
Słysząc gdzie ludność się skryła,
Z krzyżem na czele, śpiewając modlitwy
Spiesznie w te strony dążyła.

W sosnowym lesie błysnęły sztandary,
Brzmi hymnów kościelnych pienie,
I orszak polski ze znamieniem wiary
Nadszedł na pogan schronienie.

„Stójcie o Lachy! krzyknie tłum po gański —
Uchodźcie precz ztąd co żywo;
Bo nie uchroni was Bóg Chrześciański,
Przed zemstą bogów straszliwą!"

Na to z orszaku rzekł kapłan sędziwy:
„Pokój wam ludzie zbłąkani!
Książę Jagiełło pan wasz miłościwy
Śle wam swą łaskę kochani.

Dzisiaj ten książę i jego bojary
Ściśle złączeni są z nami;
Bo znając błędy waszej starej wiary
Stali się chrześcianami."

Tu jął wykładać z świętem namaszczeniem;
Prawdę z innemi kapłany;
A naród słuchał przejęty zdziwieniem,
Patrząc na swoje bałwany.

„I cóż ztąd będzie?" pytała gromada
Swych starszych, swego kapłana —
„Czyliż tę wiarę przyjąć nam wypada?
Czyliż moc bogów złamana?"

Tu dumał, dumał i rzekł Zwibój stary:
„Wielkim jest Bóg ten krzyżowy,
Kiedy sam książę i jego bojary,
Zgasili ogień zniczowy.

Lecz wiara nasza! ależ bogi nasze!
Gdzież my się bez nich uderzym?
Słuchaj więc słuchaj o ty plemię lasze!
Zwalcz bogów — a my uwierzym."

Tu młódź rycerska rzuciła się tłumem,
Do czynów ochotna i skora,
I bóstwa pogan z łoskotem i szumem
Wpadły w tutejsze jeziora.

Lud jęknął głucho, lecz jakby przejęty
Głosem bozkiego anioła,
Wstąpił do wody i przyjął chrzest święty
I wracał z gośćmi w swe sioła.

Jezioro w którem lud wówczas ochrzczono;
Do dziś dnia Świętem się zowie;
Żwirowe łoże i jasne ma łono —
Lecz gdzie zginęli bogowie

Tam bagno w koło, woda ciemna, brudna,
Strachy tam zawsze wśród nocy;
Po tych jeziorach żegluga zbyt trudna,
Szatan je trzyma w swej mocy.

A podczas kośby, siewby i żniwa
Nieraz tu bywa słyszana
Gra dudy w błocie dzika i straszliwa,
I ta piosenka szatana:

— Iłowo majo,
I Żada majo,
I Streszniewo majo,
Na tam stanu
Szto i Świątoje dostanu.

*Autor pamiątek z Litwy.*

# Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

## Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

— Jakże więc miałeś się z Zygmuntem pojedynkować?

— Na losy, po angielsku.

— Gdybyś więc zły los wyciągnął, to byłbyś sobie w łeb strzelił?

— Niech Bóg broni, tylko w serce.

— Kocham cię chłopusiu. Jesteś rzadkością godną pokazywania za pieniądze. Dziś kwestye podobnego rodzaju w inny się sposób odbywają, równie hałaśliwy a nie tak traiczny o co właśnie głównie idzie. Są wprawdzie fanatycy co się jeszcze starego przesądu trzymając, zabijają na miejscu w pojedynku lub ranią niebezpiecznie, ale nowe idee nie mogąc tego barbarzystwa odrzucić zupełnie, wynalazły drogę pośrednią, której i my użyjemy z pożądanym skutkiem.

— I jakaż to, jakaż?

— Przede wszystkiem nauczysz się strzelać z pistoletu jak Bakon, dla którego nie było zagadnienia któregoby nie rozwiązał.

— Dobrze, bo pragnę uczyć się wszystkiego czego tylko nie umiem.

— Potem wyzwiemy pana Zygmunta...

— Ale kiedy stryj...

— Czekaj, nie przeszkadzaj. Jak staniemy na placu, ja dla zabawki niby wyrzucę ci kilka jajek a ty je wystrzałami rozbijesz...

— A jak chybię?

— To je złapę w powietrzu, zakrzyczę, zahałaszę o co w takim rwetesie nie tak trudno, trzeba być tylko przytomnym i wygadanym...

Jan pokręcił głową, Stanisław mówił dalej tając uśmiech gwałtem wydzierający mu się na usta:

— Potem, jak się z tym wstępem załatwimy i staniecie na metach...

— Ja miałbym strzelać do Zygmunta, zawołał Jan wzruszony, do męża Izabelki którą tak kochałem? Nigdy! wolałbym życie stracić jak ją zrobić nieszczęśliwą.

— Ale waryacie nie przerywaj, któż tu mówi o zabiciu?

— Mów więc dalej, mów!

— Otóż jak staniecie na metach, rura w rurę wprost siebie, wówczas ja wystąpię z interwencyą nie zbrojną tylko mowną i przełożę jak łopatą, że zabijać się dla takiej bagateli jest wierutnem głupstwem. Powstanę na to średniowieczne barbarzyństwo, na przesądy, na nieszczęścia ztąd płynące, na szkodę wyrządzaną społeczeństwu, bo panegiryki takie teraz są w modzie i tak rzecz całą poprowadzę, że podacie sobie ręce, Zygmunt przeprosi cię i odwoła w obec świadków wszystko złe co o tobie powiedział. Zostaniesz więc czystym jak bursztyn, nabierzesz rozgłosu w całej okolicy i potem każdy będzie z uszanowaniem bo się przekona, że cię bezkarnie zaczepiać nie można. Cóż, jakże ci się projekcik mój podoba?

— Nie jest on zły, ale widzisz, stryj mój...

— Dajże pokój, czyż tak cię ścisnął powijakami, że nie możesz się nawet ruszyć bez jego pozwolenia.

— Ale nie o to tu idzie...

— Więc o cóż?

— Otóż widzisz stryj powiedział, odrzekł Jan przełykając jakby mu słowa więzły w gardle, że zarzutów zrobionych mi przez Zygmunta nie zdejmie nawet sto pojedynków, tylko, jak się wyraził, zdarcie ze mnie starej skóry a przywdzianie nowej.

— Operacya troszkę niebezpieczna...

— Kiedy przekonany jego dowodzeniem, oświadczyłem stanowczo, że spełnię to, kiwnął tylko ręką i powiedział że gołębia trudno na orła przemienić. To mnie ubodło, po namyśle zatem, postanowiłem pojechać do Warszawy, bo w naszej okolicy nie śmiałem nigdzie się pokazać aby nie narazić się na żarty i szyderstwa. Była z tego tytułu ogromna narada. Krewniaczka gospodyni powiedziała że zginę w Warszawie, rządzca twierdził że przepadnę a stryj że nie dam sobie rady i nic nie zrobię. Mimo tego póty przekładałem, póty prosiłem i molestowałem, aż wreszcie zgodzono się na wyjazd i oddanie pod twoją opiekę.

— Więc ja to cię mam w nową skórę przyodziać, jak się stryj wyraził?

— Tak mój drogi. Wiadomości o tobie były zawsze jak najlepsze, że umiesz sobie radzić, obracać się między ludźmi, że masz stosunki, że rządzisz się dobrze, przyzwoicie ubierasz...

— Tak, to wszystko prawda, daję sobie radę jak mogę, powiedz mi jednak co głównie myślisz robić w Warszawie, a raczej czego pragniesz?

— Oh! pragnę bardzo wiele.

— Czy chcesz się jakiemu fachowi poświęcić?

— A po cóż, kiedy i po rodzicach mam małą fortunkę i po stryju wezmę wioskę z dwoma folwarkami.

— Szczęśliwyś, jakże ci zazdroszczę. Może więc chcesz uczyć się...

— Tak mój drogi, pragnę się uczyć, przerwał Jan z zapałem, pragnę nauczyć się wiele, aby z samej rozmowy poznano że jestem wykształconym człowiekiem.

— Prześlicznie!

— Chciałbym najprzód poznać sławnych autorów w Warszawie mieszkających...

— Co ci z nich przyjdzie! To wszystko stare niedołęgi, marzyciele, strupieszałe mumie i najlepiejby zrobili żeby się przenieśli na cmentarz powązkowski i młodym nie zawadzali.

— Tak powiadasz?

— Ba! cóż to nie znam ich? Gdybym ich zebrał w jedną kupę, toby wyglądali jak figury woskowe w gabinecie starożytności. I cóżby ci przyszło, gdybym przedstawiwszy cię, powiedział: ten łysy to sławny pan Józef; ten szpakowaty to znakomity nasz Paweł, ten pochylony to uwielbiany nasz Gaweł, tamten Piotr a inny Walenty. Tybyś się kłaniał, oniby kiwali głowami, bąknęliby ni to ni owo i już po widowisku z któregoby ci nic w pamięci nie zostało.

— Zawsze to jednak pięknie wygląda, kiedy się w towarzystwie można pochwalić, że się takich sławnych ludzi widziało, ściskało za ręce i rozmawiało.

— No, zapewne, nadaje to szyku ale i bez poznania się osobistego można z nim wystąpić. Litografowano już ich, illustrowano, gipsowano, modelowano, to przypatrzywszy się im dobrze wyjdzie na jedno co poznanie żywych.

— Pragnąłbym jednak, zawsze to ciekawe...

— Tak mój chłopusiu, ciekawe jak menażerya z dziczyzną zamkniętą w klatkach. My młodzi jesteśmy na bakier z temi safandułami i nie może być inaczej. Ja np. wypracowałem artykuł o Mickiewiczu, bo to ulubiony mój poeta, i cóż powiesz, że choć go moi młodzi przyjaciele pochwalili, stare trupy redaktorskie powiedziały, że to dobre jako ćwiczenie szkolne, ale do druku nieprzydatne. Wystaw sobie, mnie posądzać o szkolarstwo, com zapomniał kiedym do szkół chodził. Rozgniewałem się więc; dałem pokój literaturze, ale od nowego roku mamy sami młodzi założyć nowe pismo, wtenczas znowu wezmę się do pióra i ciebie do tego namówię...

— Mnie? zapytał zdziwiony Jan. Ja tak mało umiem.

— To się nauczysz.

— Daj Boże, ale na to wiele trzeba czasu.

— Wprawisz się, już ja to biorę na siebie, że cię przedziergnę w literata tak szybko że ani się spodziejesz.

— Ja miałbym zostać literatem? zapytał Jan z uśmiechem zadowolenia. Prawdziwie, że mi się to w głowie nie chce pomieścić.

— Dlaczego?

— Bo widzisz .. ja czuję że nie mam potrzebnej do tego nauki. Stryj wyliczył mi wszystko co trzeba znać i umieć aby zasłużyć na nazwę wykształconego człowieka a cóż dopiero zostać literatem. Ja z tego wszystkiego znam niewiele, teraz już nie czas na nowo rozpoczynać szkoły. Poczciwy nauczyciel przysposobił mnie do nich, ale dla Magdusi nie miałem ochoty porzucać domu, matka wyjazd na moje prośby odwlekała i tak zwlekło się. Później zajęty Belunią o szkołach nawet nie myślałem, chciałem wprawdzie zapisać się do uniwersytetu aby na wakacye przyjechawszy mieć jakąś powagę, umieć rozprawiać naukowo, ale mnie odstraszyły egzamina. I tak zeszło aż do ostatniego mego nieszczęścia.

— Biedaku! jakże cię żałuję.

— Chciałbym więc naprawić to jakoś, przez parę lat posiedziawszy w Warszawie, ogładzić się, nauczyć się czegoś abym umiał tak rozprawiać jak drudzy, potem wrócę na wieś, wezmę się do gospodarki i ożeniwszy zostanę obywatelem.

— Prześlicznie, przewybornie! Ułożymy więc plan i wszystko pójdzie jak przynależy.

— Ach! jakże pragnę tego. Tylko.... i Jan zaciął się.

— Cóż tylko?

— Tylko lękam się czy to nie przyjdzie mi z wielką trudnością? Mam już lat dwadzieścia trzy, ochoty mi wprawdzie do nauki nie brakuje, ale taki wielki jej ogrom, jak mi stryj przedstawił, przeraża...

— Bądź spokojnym. Dyabeł nie tak straszny jak go malują.

— No, zapewne, ale stryj mi powiedział, że na samo wystudyowanie historyi własnego kraju i innych narodów, to dwa lata mało, cóż dopiero powiedzieć o innych naukach.

— To prawda że mało według starej metody, ale nowa jest inna nie tak utrudzająca...

— Ach! to dobrze, jaka ona?

— Widzisz, odrzekł Stanisław przybierając powagę, nowa metoda ogranicza się na szkicu ogólnym, na poglądzie pozytywno filozoficznym w którym szczegóły nikną a występują punkta wytyczne, idące szeregiem od Mojżesza do Napoleona, od Arystotelesa do Bakona i naszego Trentowskiego, od Fidyasza aż do Matejki, cóż rozumiesz?

— Nie zupełnie, ale coś... tak...

— Lepiej to później poznasz, a dla lepszego zrozumienia powiem ci po prostu, że nowa metoda wszystkie bajania jakie dotąd były uważa za nic, za przypuszczenia nie mające żadnej wartości i tylko wierzy w to, co może dowieść jak że dwa a dwa jest cztery. Bajania więc pozostawia bajarzom i starym marzycielom, a zajmuje się tem co widzi i czego się

może dotknąć. Na przykład, że Magdusia była dziarską dziewczyną...

— Och! to prawda.

— Że Belcia jeszcze piękniejszą...

— Och! stokroć....

— Otóż w to wierzy; bo widzi i patrzy na ich urodę, ale jaka w nich dusza, czy duch, czy tam serce, o tem nie mówi i nawet nie myśli, bo tego ducha nie widzi oczami i nie słyszy uszami żeby gadał. Więc czy jest czy nie jest pal go sęk! A napisano o tem tysiące książek, czyż więc to nie głupstwo czytać takie banialuki o łapaniu wiatru rękami?

Jan westchnął, czuł jakby otwierał się przed nim świat myśli nieznanej, który chwyta go w objęcia jak kleszczami i mrozi zimnem na wskroś przejmującem. Chciał coś przemówić, rzucić kilka pytań, ale słowom nie umiał nadać ładu potrzebnego. Coś przemknęło mu się w głowinie, wstrząsło nim całym jak wicher starym budynkiem, zdawało mu się że chwieje się, że upada, że wszelkie podpory z pod nóg mu się wysuwają, zimny pot wystąpił mu na czoło... słowa jednak nie mogąc przemówić, patrzył w Stanisława jak w wyrocznię, która ma go wskrzesić lub obalić bez powstania.

— Widzę że cię to zajmuje, odezwał się Stanisław patrząc na Jana nie spuszczającego z niego oczów. Cieszy mnie to bardzo, później jaśniej rzecz całą pojmiesz. Cała przeszłość mój drogi, to świat przesądów i kłamstw różnego rodzaju, niby majaczenia człowieka w gorączce. Historya narodów to dzieje złości ludzi, filozofia ich głupoty, inne nauki ich niedołęztwa. Bili się i zabijali jak bydło w szlachtuzie, pili, hulali, rozprawiali o rzeczach niewiadomych sobie, jeden tak drugi owak, a żaden z nich nie dotknął się nawet palcem tego o czem gadał, i ja miałbym się uczyć tych bzdurstw do niczego prowadzących? Nie głupim! Patrząc w gwiazdy gwałtem chcieli wypatrzeć co się dzieje po za niemi, a nie widzieli że po kolana brodzą w błocie. Nowa nasza metoda oczów w górę nie podnosi, ale wodzi niemi po ziemi żeby było nie chłodno, nie głodno i do domu niezbyt daleko. Co tam będzie kiedyś, pal ich sęk! byle dziś było dobrze i huczno i tuczno, i miłośnie i radośnie, i z napitkiem i ze zbytkiem. Mickiewicz powiedział: z pałaców sterczących dumnie zejdź luba do mojej chatki, ja też to ciągle powtarzam i czekam owej lubej i z trzosem pełnym złota. Jest to pozytywna poezya, innej nie pojmuję, żyć i użyć o to filozofia; rachować ile na to potrzeba, to matematyka, a wierzyć że tylko bogatemu dobrze na świecie i chwytać każdą okoliczność prowadzącą do mienia, to moje pozytywne przekonanie którego ważności nic nie zachwieje. Tyś szczęśliwszy; już jesteś i będziesz bogatym, ja dopiero staram się o to, i że nim zostanę kiedyś, to tak jestem pewny jak słońca że się jutro podniesie w przestrzeni.

— A jak się nie podniesie?

— Co, słońce, miałoby zaspać, czy omdleć, a może i umrzeć...

— Dla czegóżby nie? Z woli Bożej.

— Dajże pokój tym metafizykom, hipotezom jak powiedział jeden z wielkich uczonych. Trzeba raz już otrząsnąć się z tych przestarzałych przesądów, co składają ręce do pacierza. Lepiej pogadajmy jak się urządzisz...

— Tak, gadajmy o tem lepiej, bo matka poczciwa zawsze mi mówiła, pamięć przodków naszych...

— Pal ich sęk! Nie mów mi o tych burdach i niedbalcach co wszysto stracili i nie zostawili mi nic nawet na owinięcie palca. Z ich to łaski grzebię się jak wiewiórka w klatce i choć się nieraz zadyszę a stoję w miejscu i nie mogę się dochrapać fortuny. Mówmy lepiej o naszem przyszłem urządzeniu.

Po Janie znowu zimne przebiegło mrowie, serce ścisnęło się, całe moralne jego jestestwo wstrząsło nim, ale także nie umiał na to odpowiedzieć.

— Będziemy zatem mieszkać razem, mówił dalej Stanisław a Jan na wszystko potakiwał głową. Wynajmę skromne mieszkanko ale wygodne, zapoznam cię z naszą młodzieżą, urządzimy przyjęcia tygodniowe nie wystawne ale z nauczającą pogadanką...

— Będę ci bardzo wdzięczny..

— Tak w hulatyki jak w gry hazardowne wdawać się nie będziemy...

— Naturalnie, stryj bał się szczególniej żebym nie zasmakował w bałamutkach.

— Przy mnie?

— Nie, i dla tego ciebie wybrał na towarzysza...

— Nie zawiodę go. Ja widzisz żyć lubię i używać ale oszczędnie, z rachunkiem, żeby nie tylko na dziś wystarczyło ale i za tydzień nie brakło. To moja pozytywna zasada. Owo sławne: jakoś to będzie! którem się starzy rządzili, nie ma u mnie żadnej wagi i zawsze lepszy wróbel na uwięzi jak bażant na gałęzi.

— I ja tak samo lubię oszczędność z rachunkiem połączoną. Stryj znając mnie jedynie dla tego na wyjazd do Warszawy zezwolił.

— A zatem jesteśmy zgodni w najważniejszym punkcie, przyjęcia nasze będą skromne, herbatką, serdelkami, bułką, na pierwsze jednak zagospodarowanie potrzebne są pewne wydatki, a ja nie wiem jakie twoje fundusze...

— Mam blizko tysiąc złotych przy sobie....

— To mało.

— Stryj obiecał dawać mi rocznie trzy tysiące...

— I to mało, na roczne wydatki zaledwie podwójna suma wystarczy i to bardzo skąpo a na pierwsze zagospodarowanie najmniej potrzeba dwóch tysiączków....

— Napiszę zatem do stryja...

— A ja się dopiszę wystawiając drogość Warszawy i konieczność powiększenia budżetu, jeżeli pobyt twój między nami ma ci przynieść jaką korzyść.

Jan po powrocie do Warszawy umieścił się w hotelu, a Stanisław przyrzekł zaraz na drugi dzień zająć się wyszukaniem odpowiedniego mieszkania. Jan długo nim się położył chodził po pokoju w głębokiem zatopiony dumaniu. Rozmowa cała dziwne na nim zrobiła wrażenie, nie umiał wartości jej właściwej osądzić. Czasami zdawało mu się, że słyszał w niej fałszywy ton nie mogący dostroić się do tego, co w duszy jego spoczywało, co pielęgnował z takiem poszanowaniem przez matkę jeszcze zaszczepionem. Wprędce jednak przechodził do innego przekonania: wymowa Stanisława, szastanie naukowemi terminami podbiło go zupełnie. Człowiek tak umiejący mówić, musi być mądry a taki fałszu nie ogłasza. Brzęk fałszywego tonu rozbudzający w nim dysharmonią, kładł na karb nieświadomości wynikającej z zaściankowego życia, braku nauki który mu jeszcze zakrywa to co dla drugich jest już jasne i niewątpliwe. Wreszcie wszystko co usłyszał, było dla niego zupełnie nowem i nigdy niesłyszanem: ciekawość ciągnęła, dawne nawyknienia odpychały i z tych dwóch prądów wprost sobie przeciwnych musiało powstać starcie, burza zawsze straszna i groźna.

Nachodziwszy się dosyć po pokoju, wydobył książkę do nabożeństwa przez matkę pozostawioną, ale czytał oczami a myślą biegał po labiryncie różnych przypuszczeń i zapytań, krążących z gwarem jak stado kruków przeczuwających śnieżną zawieję.

Zamknąwszy książkę wysunął z za gorsu koszuli krzyżyk złoty na czarnym sznureczku zawieszony. Była to pamiątka po matce: przytulił go do ust, ale te pozostały nieruchome, myśl znowu w szalonym wirze pobiegła wysoko i zawisła z zapytaniem na które Jan wzdrygnął się i obejrzał z trwogą. Krzyżyk jednak ucałował, z książki odmówił modlitwy i pokrzepiony rzucił się na posłanie.

Stanisław również dumał śpiesząc do mieszkania, ale myśli jego w weselszej bujając sferze, nie nużyły ale przeciwnie krzepiły i dziwną napełniały błogością.

— Ot to mi dopiero papusia wiejska, myślał sobie nucąc i paląc cygaro. I takie cielątko ma pieniądze i majątek kroćiowy czeka na niego, którego nawet zużytkować nie potrafi należycie. Stryjaszek kochany mógł nas obu równemi obdarzyć działami, a że nie spełnił tej sprawiedliwości musisz kochanku naprawić tę krzywdę. Tobie połówka i mnie połówka, jest to prawie nic za opiekę z jaką cię strzedz będę abyś nie wpadł w ręce drapieżnych wilków, którzyby cię obdarli do ostatniej nitki. Ja nie dam ci krzywdy zrobić, strzedz będę jak oka w głowie, przerobię, oheblują, okrzeszę, wystrychnę na człowieka, a to praca jak każda inna trzeba za nią płacić, nic nie pomoże. Dobiłem się wreszcie do portu: szaty niewinności nie zdejmę z ciebie, będziesz białym jak synogarlica, czystym jak łza, poetycznym jak Mickiewicz, ale z zapisem musisz się podzielić. Przez te dwa lata będę ciułać, oszczędzać abym z zasobem na wsi osiadł; z głowy tylko przyszedłszy do wioski, to z wioski przyjdę do dóbr i będę panem całą gębą. Witaj fortuno matko, kiwnęłaś ogonem gładko, niech ci będzie na zdrowie. I to tacy zostają jedynakami żeby odziedziczyć aż dwie fortuny! Ach! szkaradna niesprawiedliwości, a gwałtem chcą wmówić w ludzi że na świecie wszystko mądrze i doskonale. Gadajże tu z niemi! Dobry to jednak chłopiec! Krówkę podobną trzeba szanować, chuchać, dmuchać, żeby mlekiem zawsze darzyła. Obcy obdarłby go ja tylko muszę być sprawiedliwym, wreszcie co mu po zbyt wielkim dochodzie, kiedy małą rzeczą umie się zadawalniać. Ja co innego pragnę używać, a nie mam na to...

Mieczysław z Maciusiem spostrzegli zaraz na drugi dzień, niezwykłe ożywienie w Stanisławie. Śmiał się, żartował, dowcipkował i przyrzekł nawet sprawić fundę co mu się rzadko zdarzało.

— Kogożeś Lamparcie oskubał? zapytał Maciuś. Ten twój dyabelski humorek nie jest bez po wodu.

— Troszkę zgadłeś, ale niezupełnie.

— Zapewne grałeś w karty szczęśliwie, bo przegrany nos zwieszasz.

— Grało się Pączku kochany w preferansika i wzięło się kilka rubelków, bo inaczej nie wyszedłbym na swoje.

— To by cię tak nie rozweseliło, zwykła to twoja sprawka, musiałeś pewno złapać jaką rybkę na wędkę twego paplarstwa.

— I teraz troszkę zgadłeś, ale nie zupełnie. Zmieniam mieszkanie.

— Czy się żenisz? To już zapewne z tygrysicą.

— Małżeńskie szczęśliwości zostawiam dla Żyrafki, który jak uważam widocznie poważnieje i przemienia się na papę o zaokrąglonym brzuszku. Wypas na Pradze jakoś mu posłużył.

Maciuś ze Stanisławem roześmieli się, Mieczysław poruszył się niespokojnie i wtulił lepiej w szlafrok i w wyściełkę fotelową. W dniu tym jeszcze nic nie wiedział, o bankructwie panien Mikłockich.

— Nie bocz się Żyrafko kochany, ty tak pragnący spokoju domowego nie zrobiłbyś nic nadzwyczajnego, gdybyś małżeństwem przypieczętował z panną Klarką poznajominy. Dzielne to dziewczę, rozumna, przenikliwa, zabiegła, jest królową w domu, pod-

skarbim, gospodynią, szwaczką, wszystkiem czem chcesz.

— Pierwszy raz może w życiu nie minąłeś się z prawdą, odezwał się Mieczysław. Rzeczywiście lubię tę panienkę...

— To zapewne... odezwał się Maciuś, ale mu przerwał Stanisław.

— Cicho Maciusiu! W Żyrafce apetycik podrasta, nie trzeba mu przeszkadzać, niech się wywnętrzy, przerwa może sprowadzić niestrawność. Mów Żyrafko dalej, czy będziemy mieli weselisko?

— To zależyć będzie od wielu jeszcze okoliczności. Muszę wszystko dobrze wybadać, rozważyć...

— A panna?

— Jakto panna?

— No, czy nie patrzy na ciebie ze wstrętem?

Mieczysław zdziwiony spojrzał na Stanisława, uśmiechnął się, podniósł ramion i zagłębił w fotelu.

— Jakże możesz się o to pytać? odezwał się Maciuś. Żyrafka jeżeli nie naukowością, to wysmukłością każdej podoba się kobiecie.

— Wiesz co, że to wcale nieźle powiedziane. W nagrodę tej trafnej uwagi biorę was na śniadanko: ty spęczniejesz Maciusiu jeszcze lepiej, a Żyrafka rozezmycha się. Poznacie przytem mego braciszka...

— Braciszka? A zkąd wyrósł tak nagle?

— Przyjechał a raczej przypłynął Wisłą na tratwach.

— A! to i rybka się znalazła, zawołał Maciuś ze śmiechem.

Rozśmiał się równie i Mieczysław, Stanisław troszkę zmieszał: nadrabiając jednak miną, odrzekł:

— Jeżeli przypuszczacie, że z niego jaką korzyść osiągnąłem to się mylicie, jak siebie kocham. Nie dał mi ani grosza a i ja też od niego nic nie żądałem.

— No, no, przed nami nie wykręcisz się, za nadto cię Lamparcie znamy, abyśmy uwierzyli w twoją życzliwość bez interesu. I to śniadanko nie jest bez znaczenia.

— Jak siebie kocham chciałem was zapoznać tylko z moim bratem a szczególniej z Mieczysławem bo on poważa bardzo uczonych. Pączka przedstawię jako zawołanego prawnika....

— A ja ciebie jako Lamparta.

— Mniejsza o to, ale żart na stronę, przyznacie sami, że te poznajominy powinny się odbyć jak najprzyzwoiciej i najpoważniej. Co uchodzi pomiędzy nami, to nie zawsze wypada przy obcych. O Mieczysława jestem spokojny, bo ma rozum i takt w postępowaniu, ale ty Maciusiu wielkim jesteś paplą i możesz wystrzelić z jakiem dziecińtwem, które....

— Już tylko....

— Cicho Pączku, najlepiej buzię na kłódkę i tylko kiwaj główką a jeżeli język cię zaświerzbi, to palnij rozprawkę o inicyatywie albo sentencyi lub juris prudencyi, bo brat mój lubi prawo i dowodzenia naukowe, a ty umiesz to zrobić jak zechcesz. Praktyka i rozsądek wrodzony dały ci to co inni zdobywają uniwersytecką pracą...

— Naturalnie, mruknął Maciuś połechtany pochlebstwem.

Miećkowi naszemu zostawiam filozofią a sobie wtajemniczenie w praktyczne życie. Przy takim programie zrobimy z niego człowieka, bo chłopiec poczciwy, żądny nauki, tylko nieoskrobany z różnych głupstw przylepionych do niego jak błoto do butów.

— Tylko żebyś z niego czasem skóry nie zdarł razem z błotem.

— Daj pokój Maciusiu, mówię poważnie, z żartami więc nie wyjeżdżaj, Będziemy mieszkać razem ..

— Byłoby to nieźle przerwał Maciuś, ale czy to wypada?

— Wypada mój Maciusiu, mieszkanie weźmiemy większe i urządzimy zebrania literackie. Dla czterech miejsce z łatwością się znajdzie a będzie nam weselej wszystkim a wam sądzę że dogodniej. Brat będzie zadowolony, bo tak czy owak, w tej dziurze nie mógłby się z nami pomieścić, ja zaś nie chciałbym się z wami rozłączyć. Za nadto wiele dni przeżyliśmy z sobą i przeżartowali... umiem być dobrym towarzyszem...

Przyjaciele spojrzeli na Stanisława, aby się przekonać czy nie żartuje. Obawa to jednak była próżna. Stanisław mówił jak czuł rzeczywiście; duch matki nie zamarł jeszcze zupełnie w jego sercu i skłaniał do czynów dobrych choć z wyrachowaniem i bez poświęcenia, ale zawsze dowodzących, że nie był takim samolubem za jakiego chciał uchodzić jako niby postępowy więc rozbratany zupełnie ze starym przesądem. Była to natura nie zła tylko spaczona i wykrzywiona. Brakło mu prawdziwej nauki której miał tylko pozór a na nabycie jej już nie było czasu. Zrozumiawszy spojrzenie przyjaciół, śmiało także spojrzał na nich i ulegając wpływowi zwykłej swej wesołości, którą zawsze miał na zawołanie, rzekł:

— Sądzicie zapewne że żartuję, otóż jak siebie kocham powiedziałem prawdę.

(*d. c. n.*)

# WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

## Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

**Streszczone przez J. B.**

(Dalszy ciąg).

Jesteśmy pod sklepieniem nad dzwonnicą; w około krzyżują się i plączą deski opancerzone sztabami żelaznemi przytwierdzanemi wielkiemi nitablami, podobnemi do głowy węża; od nich opuszczają się dzwony. Największy nazywa się *Józefina* ponieważ odlany był za panowania Józefa I. Pierwszy raz zadzwoniono w niego d. 26 lutego 1712 r. po powrocie cesarza Karola VI ze swej koronacyi we Frankfurcie. Dźwięk tego dzwonu jest tak potężny iż dochodzi aż do gór Styryjskich.

Przeszedłszy jeszcze z piećdziesiąt schodów, doszliśmy do izdebki strażniczej; noszą oni mundury podobnie jak żołnierze liniowi. Głównym ich obowiązkiem jest strzedz i dawać znak natychmiast na wypadek pożaru. Gdy tylko dostrzegą podnoszące się kłęby dymu zwiastującego ogień, kierują w miejsce jego wybuchu małą ruchomą lunetę; kierunek lunety wskazuje numer odpowiadający numerowi rejestru wskazującego dokładnie ulicę i numer domu w którym wybuchł pożar, i numer ten podają telegrafem głównej kwaterze straży ogniowej. Ten mądrze obmyślany przyrząd wykonany był przez profesora astronomii, Littrow'a, między 1867 a 1868. Wisi jeszcze w izdebce strażniczej ogromna trąba, za pomocą której zawiadamiano dawniej miasto o wynikłym pożarze.

Wstępujemy jeszcze wyżej; już tylko trzydzieści stopni oddziela nas od najwyższej platformy. Tu na prawo stoi ławka kamienna, na której, podczas oblężenia Wiednia siadał hrabia Starmberg dla obserwowania ruchów wojsk tureckich; ale tygodnie, miesiące upływały, Turcy już zburzyli część murów miasta i do połowy zasypali fossy, garnizon wiedeński dzień i noc czuwał, jednak wiedziano dobrze iż lada chwila uledz muszą liczbie i wściekłości oblegających. Starmberg wiedział już że dzielny Polak, którego wysłał na zwiady powrócił z dobrą wieścią, i dla tego przez całą noc przesiedział na ławce z okiem wlepionym w tę stronę horyzontu, z której spodziewał się nadciągającego na odsiecz, sławnego bohatera, Sobieskiego, wraz z jego dzielną armią. Ale cisza zaległa dokoła, a blade księżyca promienie oświetlały tylko namioty nieprzyjacielskie na pochyłościach Nussdorf i Heiligenstadt, przedstawiające się z daleka jak wielkie śniegiem zasłane pole. Z bastyonu Burga dochodził odgłos straży tureckich, które zajęły go od 3 września. Nareszcie zaświtała jutrzenka z czerwono-krwistym odblaskiem; a Starmberg stojąc na ławce z radośnym okrzykiem podniósł w górę swoją szpadę, potem padł na kolana wznosząc ręce ku niebu i pobiegł stanąć na czele wojsk swoich, wołając: „Naprzód! jesteśmy ocaleni!“

Ze szczytu wieży ujrzał sztandary wojsk polskich, jak wyłaniając się nagle z po za Nussdorf i Heiligenstadt, napadli jak uragan na obóz turecki. Starmberg przybył na plac boju w chwili gdy spahowie i janczary uciekali w nieładzie jak wystraszona gromada owiec.

Z wysokości tejże wieży, przerażeni Wiedeńczycy patrzyli na zbliżających się pod Wiedeń Francuzów i widzieli wszystkie ruchy i obroty dokonywane w bitwie pod Essling, aż do chwili gdy Napoleon kazał przebyć odnogę Dunaju swojemu wojsku, którego sił i wytrwałości nie wyczerpały trzydzieści godzin walki.

Z tej wysokości odgłosy i wrzawa miasta podobna jest do głuchego szumu fal oceanu; katedra wyłania się z pośród szczytów nagromadzonych domów. Patrząc daleko na północ, wzrok nasz odgaduje równiny węgierskie a po za niemi Galicyę i wąwozy Karpackie. U stóp wzgórz pokrytych winną latoroślą Dunaj toczy modre swe fale; przyszły mi na myśl te słowa poety: „Uwieńczcie mnie gałązką winnej latorośli, tej pięknej córy węgierskich ziem; winna latorośl i poeta jednakie mają przeznaczenie, oboje duszę swą oddają światu. Wino jest duszą winnej latorośli, pieśń jest duszą poety.“

Niegdyś wzdłuż Dunaju posuwało się barbarzyństwo, dziś przez Dunaj postępuje cywilizacya, a kto posiada tę rzekę, dzierży w swej dłoni klucze Wschodu.

W miarę oddalania się od fal Dunaju, krajobraz posępniejszą i dzikszą przybiera postać; zamiast obszarów pokrytych bujnemi kłosami, roztaczają się niezmierzone szare i monotonne płaszczyzny, niby ocean stepów, tajemnicze i prawie nieznane okolice, po których przeciągają karawany cyganów. Wieczorem, gdy słońce przybiera wejrzenie ognistego koła, nad brzegiem wód stojących rozruconych wśród bagnisk, ukazują się czarnogłowe czaple lub bociany z czerwonemi dziobami: dzikie gęsi, trzepocząc skrzydłami odlatują ku trzciną pokrytym przestrzeniom; gromady błąkających się bawołów przybiegają do wody aby ugasić pragnienie: a gdy już słońce się skryje a mrok zacznie roztaczać nad ziemią, tu i owdzie zabłysną ognie rozłożone przez rozbójników lub pastuchów, a w głębi puszczy zajaśnieją jak świetlne punciki małe okienka oświetlonych gospód węgierskich. Gdy księżyc wzejdzie na niebie i bladem swem światłem ozłoci niezmierzone obszary puszczy, wtedy przedstawia ona uroczy, czarodziejski widok.

Węgry, jest to ziemia niepodległości, zamieszkana przez naród dzielny, odważny, z sercem szlachetnem zdolnem do poświęceń, z duszą wzniosłą płomiennym ożywioną zapałem. Nieograniczenie przywiązani do swej ziemi rodzinnej, Węgrzy dumni są ze swych starodawnych przywilejów i prastarych swobód.

Galicya, to także kraj piękny i szlachetny; piękne modre jeziora drzemią tam w pośród czarnych dolin; w oddali sterczą strome góry pokryte śniegiem i dziewiczemi lasami wysmukłych sosen, wśród których rozlega się przeciągły gwizd wichru, gdzie kryją się ścigane przez myśliwych niedźwiedzie. Klimat tu ostry, ziemia jałowa, ziemia wiecznych lawin i wodospadów. W rozrzuconych tu i owdzie zameczkach, liczna i rozrzutna szlachta pędzi wesołe życie; tu dogorywają wieki średnie uwieńczone różami. (*)

Na wschód Wiednia leżą Czechy, których pracowita ludność zajmuje się rolnictwem, handlem i przemysłem. Pola są urodzajne i dobrze uprawione; wsie są rozległe i zasobne, śpichlerze zawsze pełne. Czechy są śpiżarnią Austryi.

Na południe, w mglistej oddali, rysują się góry Styryi, a po za niemi Alpy tyrolskie tworzą jakby podwójny szaniec. Styrya karmi swemi pastwiskami niezliczone trzody, a w łonie jej kryje się żelazo, miedź i ołów. W zimie jest ona Syberyą, w lecie staje się Italią.

Któż nie zna Tyrolu tej Bretanii austryackiej? Mieszkańcy jego to lud dzielny, wolny i dumny, lud wojowników i myśliwych. Piękne i urocze są wzgórzyste krajobrazy tej starej ziemicy, a jakiż to powab mają dla wędrowca poetyczne miejscowe ballady i legendy wypowiadane pięknemi ustami młodych dziewcząt. W południowym Tyrolu hodują jedwabniki i morwy, winna latorośl i kasztany włoskie pochylają ku sobie swe gałęzie, a wietrzyk wiejący z pod italskiego nieba, przynosi na swych skrzydłach woń pomarańczy i oddźwięk śpiewu słowika.

Tyrol zarówno jak Szwajcarya, przedstawia dwa całkiem różne krajobrazy. Strona północna jest wspaniała i surowa; na śniegiem pokrytych wyżynach giemzy przeskakują głębokie przepaście, a wysoko po nad niemi orły budują swe niedostępne gniazda. Strona południowa, przeciwie, nęci nieopisanym wdziękiem; słońce uśmiecha się do zielonych wzgórz i kwieciem umajonych dolin, a rozkoszne strumienie szmerem swym opiewają przez cały rok urok i powaby wiosny.

Żal mi było opuszczać wieżę Ś. Szczepana, tak cudowny i rozległy z niej roztacza się widok.

## IX.

W Wiedniu czas i pogoda są nadzwyczaj zmienne; po słonecznym dniu wczorajszym, nastał posępny, zimny i śnieżysty. Śnieg spadły niespodziewanie pokrył dachy i ulice, a przechodzący po nich otulali się w futra i pokładli futrzane czapki. Powozy przesuwały się cicho, jakby po drodze wysłanej watą, a doszedłszy do zewnętrznych fortyfikacyi, wzniesionych kiedyś dla osłonienia stolicy od napadów tureckich, zdawało mi się że syberyjski krajobraz roztoczył się przed moim wzrokiem. Jak tylko okiem zasięgnąć mogłem, ponury śniegowy całun pokrywał ziemię; tu i owdzie drzewa wyłaniały się jak szkielety, a czarne stada kruków latających nad niemi, przedstawiały jakby dusze zbrodniarzy, skazanych na przebywanie w tych ponurych strefach.

(*) Obraz to nie koniecznie wierny, ale pozostawiliśmy jak go naszkicował autor. (*P. T.*)

Odebrałem wieczorem zawiadomienie że jenerał Uchatius czeka mnie nazajutrz o godzinie ósmej rano. Jest to jeden z najznakomitszych wojskowych austryackich, głośny w świecie dzięki wynalezionym przez niego działom.

Jenerał Uchatius urodził się w r. 1811, a w siedemnastym roku życia wszedł jako kadet do artyleryi. W roku 1842 został oficerem a następnie majorem i komendantem działolejni: w 1867 dosłużył się stopnia jenerała, a po odkryciu aliażu z bronzu i stali, otrzymał godność szlachecką i tytuł barona. Nowy ten metal wynaleziony przez uczonego jenerała, po dwudziesto-letnich trudnych i mozolnych doświadczeniach, odznacza się nadzwyczajną lekkością, elastycznością i taniością.

Arsenał cesarski zbudowany po rewolucyi z 1848 r. jest zarazem fortecą, muzeum historycznem, fabryką broni i ładunków, oraz działolejnią. Wzniesiony na wyżynie po za pałacem i ogrodu Belwederu, panuje nad miastem; jenerał Uchatius, dyrektor Arsenału, jest zarazem komendantem fortecy od lat już wielu.

Przyszedłszy, długo błądziłem po pustych korytarzach, nareszcie odważyłem się zadzwonić do niewielkich drzwi, które się zaraz otworzyły.

— Jenerał raczył uprzedzić mnie że dziś rano mnie przyjmie, oto mój bilet, rzekłem do jakiejś pani która mi otworzyła.

— Pan baron czeka na pana, odpowiedziała, chciej pan wejść, i wprowadziła mnie do pokoju jenerała, który siedział przy śniadaniu.

Skromny ten pokój stanowił sypialnię, laboratoryum i gabinet jenerała. Żelazne łóżko otoczone pół-wełnianemi firankami zakrawa na namiot; nie ma tu ani jednego wykwintniejszego sprzętu, ani kanapy, ani nawet fotela; na ścianach wisi kilka fotografii armat, jakby wizerunki najlepszych przyjaciół. Zdawało mi się że wszedłem do celi jakiegoś zakonnika, tem więcej że i głowa mieszkańca tego pokoju, ma w sobie coś ascetycznego. Wyraz twarzy jenerała jest poważny i dobrotliwy, czoło smutne i pochylone, a wyryte na niem zmarszczki zdradzają długie przebyte cierpienia i walki. Spełnił kielich goryczy na początku swego świetnego dziś zawodu.

Mówiąc o swoim wynalazku, rzekł mi: „Nie miałbym już dziś odwagi, drugi raz przechodzić co przeszedłem, przetrwać co przetrwałem.“ Wszyscy wojskowi byli przeciw niemu: dzienniki wiedeńskie, dziś wynoszące go pod obłoki, wyśmiewały go i znieważały. Ileż to zwycięzkich prób odbyć musiał zanim przekonał swoich przyjaciół, a gdy już nareszcie rząd zamówił u niego pierwsze armaty, Krupp narobił hałasu że mu wykradziono jego sekret odlewu dział. Sądy wdały się w tę sprawę, z której nareszcie Uchatius wyszedł zwycięzko. Dowiedzionem zostało że wynalazek jego jest wyłącznie własnym jego pomysłem, a najlepszem tego świadectwem są gorliwe zabiegi rządu pruskiego, aby wykryć sposób odlewania dział Uchatiusa. Któż nie pamięta śledztwa przeprowadzonego niedawno w Wiedniu, i wynikłej z niego sprawy, sądzonej przy drzwiach zamkniętych. Dla oszczędzenia kancelaryi cesarstwa niemieckiego, przekupiono trzech urzędników arsenału i ci zdradzając rząd własny, wydali rysunki maszyn któremi jenerał Uchatius posługiwał się do odlewania swoich armat. Podczas śledztwa, prokurator cesarski nie mógł powstrzymać się od powiedzenia, raczej wojskowemu niemieckiemu przyłączonemu do ambasady, niż jego wspólnikowi: „A więc przyznajesz pan że porozumiewałeś się z kapitanem Keller'em w bramie, jakby dwóch złodziei mających się podzielić zdobyczą.“

Już to Prusy od najdawniejszych czasów mieli w Austryi swoją nadzwyczaj rozgałęzioną policyą tajną.

Jenerał Uchatius zarzucił na siebie długi płaszcz szarawy i poszliśmy do fortecy. Patrząc na tyle dymiących dachów, przesuwających się wozów, ludzi, żołnierzy i robotników, możnaby myśleć że się weszło do małego miasteczka; tu daje się słyszeć chrapliwy dech miechów, tam ogłuszający huk młotów. Na prawo wznosi się kościół, na lewo szpital. Trzy tysiące ludzi może pomieścić się wygodnie w czterech pawilonach wzniesionych na czterech rogach tej ogromnej i mocnej budowli, mającej milę obwodu.

— Dawniej, rzekł mi jenerał, przebywałem welocypedem wszystkie te dziedzińce, ale tak się ze mnie śmieli iż musiałem tego zaniechać i dziś chodzę piechotą.

Muzeum mieszczące się w głębi przedstawia fasadę w guście odrodzenia, wnętrze zaś podobne jest do gotyckiej katedry, pokrytej marmurem. Wszędzie pełno posągów i złoconych ozdób, a na sklepieniach przepyszne freski. Na schodach wznosi się kolosalna statua Austryi niby matka strzegąca swe dzieci. Sala Sławy przyozdobiona jest arkadami w guście maurytańskim; światło wchodzi do niej przez trzy wielkie okna w kształcie rozet. Ściany pokryte są chorągwiami, błyszczącemi zbrojami i wspaniałemi trofeami. Widzimy tu sztandary które bohaterskie dłonie krzyżowców, zatykały na murach Jerozolimy; pierścień i przyłbicę jaką nosił król polski, Jan Sobieski podczas odsieczy oblężonego Wiednia; zbroję Mateusza Korwina, zmarłego w Wiedniu skutkiem ataku apoplektycznego, w 1490 roku; pancerz, szpadę i przyłbicę Libussy, królowej czeskiej.

— Pewnego dnia, rzekł, włożyłem na głowę tę przyłbicę, i kazałem żołnierzowi aby mnie bardzo silnie uderzył szpadą po niej, nie poczułem nawet uderzenia. Wojny w owych czasach prawdziwą były zabawką.

— Czyjże jest ten pancerz nabijany złotem? zapytałem, wskazując prześliczną zbroję z siedmnastego wieku.

— Jest to pancerz, który papież Innocenty XI ofiarował księciu sabaudzkiemu po bitwie pod Zeutą.

Opuściwszy muzeum broni, udaliśmy się do warsztatu w którym ostatecznie wykończają działa; było tam dwanaście wielkich armat, tak błyszczących jakby były ulane ze złota.

— Doprawdy, za piękne do zabijania, rzekłem.

— Oh! nie myślimy nikogo napadać i zabijać chcemy tylko módz się bronić.

Przeszliśmy potem około działolejni; wchodzić do niej bezwarunkowo niewolno nikomu, od czasu jak pewien jenerał, idąc wzorem Prusaków, chciał wykraść tajemnicę odlewu dział Uchatiusa. Jenerał ten wydał nawet pod swojem imieniem broszurkę, którą wprost przetłomaczył z wydanej po niemiecku przez jenerała Uchatiusa.

— Ilu zajmujesz robotników, jenerale? zapytałem.

— Dwa tysiące czterystu i trzystu żołnierzy. Uzbrojenie artyleryi polowej zupełnie już gotowe, teraz wykończam działa oblężnicze.

Weszliśmy do warsztatu gdzie wyrabiają ładunki według bardzo dobrze obmyślanego systemu amerykańskiego; w zwyczajnym czasie wyrabia się tu rocznie trzy miliony pocisków. Z wyjątkiem jednego żołnierza, w zakładzie tym pracują same kobiety.

— Patrz pan, rzekł jenerał, pokazując małą żelazną głowę cukru, oto nowy pocisk mego wynalazku; wybuchając rozpada się na pięćdziesiąt dwie

części, kiedy takiż sam pocisk wychodzący z warsztatu Krupp'a rozpada się tylko na dwadzieścia pięć części.

Jak w ogóle ludzie myślący i zajęci różnemi dochodzeniami, jenerał Uchatius nie wiele mówi; nie lubi światowych zabaw, żyje zamknięty w swej fortecy, w pośród swoich ukochanych armat, które miłuje i dogląda jakby dzieci. Piękna mi rodzina! odgłosy jej prędzej czy później głośnem po świecie rozlegną się echem!

(*d. c. n.*)

## ROMANS.

(Z piosnki Iwanowa, muzyka St. Moniuszki).

Wciąż jakbym kogoś oczekiwał,
W piersi ścieśnionej braknie słów;
Wciąż jakbym kogoś szukał, wzywał —
Wypływa postać z cudnych snów.

Duch za kimś tęskni, wciąż szaleje,
O kimś się roją dziwne sny —
I czy chcę płakać, czy się śmieję,
Kogoś wciąż braknie, braknie mi.

Komuśbym dał tajemny dar —
Ach! wszystkie duszy mej promienie;

Komuśbym dał tajemny dar,
Wrzącej młodości mojej czar
I każde serca uderzenie!..

*F. M. Eysymont.*

# Korespondencya z Niemiec.

Kłopoty Niemiec. — Niedobór w budżecie. — Potrzeba nowych podatków. — Nędza i socyalizm. — Proces wytoczony ks. Bismark'owi. — Kobiety socyalistki. — Obchód weselny księżniczek. — Taniec z pochodniami. — Dziełko Maksa Bauera o fałszowaniu żywności. — *Historya naturalna kobiety*, przez Baerenbach'a. — *Historya naturalna dyabła* p. doktora Karsch'a. — *Podróż do Peloponezu* Fryderyka Wernick. — Muzyka w Berlinie i w Wiedniu. — Karnawał w Wiedniu. — Teatr. — Nowe Muzeum. — Jubileusz uniwersytetu w Tubindze. — *Święta rodzina* Knaus'a.

Od roku 1872 wydatki państwa niemieckiego powiększyły się o 130 milionów marek a podatki prawie nie zostały powiększone, i dla tego obecnie wszyscy finansiści państwowi łamią sobie głowy nad obmyśleniem nowych źródeł dochodu. Długo wahano się nad nałożeniem znaczniejszego a nader niepopularnego podatku tytoniowego, dziś jednak zdaje się przyjdzie zapewnie do tego, i po części byłby to podatek sprawiedliwszy niż wiele innych, gdyż tytoń, cygara i tabaka nie są niezbędne do życia. Fabrykanci i rzemieślnicy zatrudniający znaczną liczbę robotników, chętnie przyklasnęliby wszelkim środkom mogącym wpłynąć na pewne ograniczenie tego narkotyku, marnotrawiącego czas jaki robotnik obraca na nakładanie i zapalanie fajki. Obliczono tu że traci na to dwie godzin czasu dziennie.

Dotąd podzielone są zdania co do zasady rozłożenia tego podatku. W Anglii uprawa tytoniu jest wzbroniona, a na przywóz znaczne bardzo nałożono cło; w Austryi rząd sam wyrabia i sprzedaje tytoń, i zdaje się że i tu utrzyma się system monopolu, praktykowany w Austryi i we Francyi. Niepodobna bowiem myśleć o zakazie uprawy, skoro w samych prowincyach nadreńskich 30,000 hektarów gruntu na ten cel jest obrócone. Według złożonego projektu do prawa, każdy zajmujący się uprawą tytoniu byłby zobowiązany zadeklarować ilość swych plantacyi i opłacać 24 marek od 50 kilogramów, a cło przywozowe od tytoniu zostałoby bardzo powiększone. Podatek ten ryczałtem dostarczyłby skarbowi około 30,000,000 marek rocznie, a więc zaledwie trzecią część niedoboru, i dla tego monopol na sposób francuzki licznych liczy zwolenników. P. Mohl obliczył że wydzierżawienie monopolu w całem cesarstwie niemieckiem, powiększyłoby budżet dochodów o 533 milionów marek, a sumka to tak ponętna, iż prawie pewnym być można, iż dla przejścia jedynie zacznie się od pewnego oznaczonego podatku, aby z niego przejść do monopolu. Jeśli zaś ten nie da się zaprowadzić, trzeba będzie obmyśleć nowe jakieś podatki, i rada związkowa obrabia już różne odpowiednie projekta. Myślą o opodatkowaniu wartości giełdowych, kart do gry, marek pocztowych, cukru, soli, wódki i t. p. co jednak wskazuje że w Prusach jest jeszcze wiele rzeczy nie opodatkowanych.

Była także mowa o powiększeniu podatku od piwa, którego Niemcy tak bezmierną wypijają ilość, ale nie śmiano chwycić się tego środka, aby nie zrażać więcej jeszcze i tak nie bardzo zadowolnionych krajów annektowanych, a może nawet z obawy wywołania zaburzeń jak to było powodem w Bawaryi.

Widzimy więc że nie wszystko złoto co się świeci, że i owe potężne Niemcy tak cierpią na goliznę jak wielu najpospolitszych śmiertelników. Straszna ta choroba stała się prawie epidemiczną i coraz większe przybiera rozmiary — a jak się zdaje jest nieuleczona, skoro nawet francuzkie miliardy nie mogły jej zapobiedz.

Jasny to dowód że szczęście i wielkość nie zawsze chodzą w parze, bo inaczej cóżby do niego brakowało Niemcom? Posiadają potęgę, chwałę, wspomnienia które upajają dumą i mile łechczą pychę i miłość własną; nietylko nikt im nie grozi i nie ubliża, ale wszyscy kłaniają się i przypochlebiają, wszyscy pragną zaskarbić sobie ich względy. Każde słowo wyrzeczone przez wielkiego męża stanu przewodniczącego w ich rządzie, słuchane jest ciekawie i powtarzane w całej Europie jakby wyrok przeznaczenia; choć przestanie mówić Europa nadstawia ucha i słucha jego milczenia. A mimo to jakże to daleko Niemcom do stanu błogiej szczęśliwości, ileż to szarpie je trosk, kłopotów, niepewności i wewnętrznych niepokojów! Jedne pochodzą z zewnątrz i z tych każą zdawać rachunek sąsiadom, których zachowanie się wydaje im się podejrzane, inne wywołane są przez ważne kwestye wewnętrzne, nader trudne do rozwiązania. Sprawy religijne zamiast uspakajać coraz bardziej się rozjątrzają, socyalizm zastraszające przybiera rozmiary, bezrobocia i zmowy robotników bywają coraz częstsze, zastój i upadek przemysłu nader dotkliwie uczuć się daje. Niedość na tem, przekonywają się, że konstytucya państwa, tak młoda jeszcze a już tak zużyta, przepełniona jest błędami i niedogodnościami. Cały jej mechanizm źle funkcyonuje, ciągłe ścieranie się składających ją kółek przeszkadza działaniu i każe się obawiać zupełnego rozprzężenia. Wielki mechanik który ją zbudował, sam przyznaje, że wprawienie jej w ruch przechodzi jego możność, że niezbędnie wymaga naprawy albo przeróbki. Dotąd konstytucya cesarstwa niemieckiego żyła życiem tymczasowem, a taki stan długo potrwać nie może.

Prawdę mówiąc ze wszystkich rządów najtrudniej zaprowadzić dobry zarząd konfederacyi lub państwo federacyjne. Konfederacya składa się z państw udzielnych, które trzeba pozbawić pewnych przysługujących mu przywilejów, na rzecz rządu centralnego, a takie zaparcie się siebie, to cnota zakonników a nie rządów. Trudności zwiększają się jeszcze, jeśli państwo federacyjne składa się z małych krajów anektowanych do potężnego mocarstwa, wtedy cała polityka wybornie przedstawiona jest w bajce Lafontaine'a. Powiedziano w niej co się stało z jałówką, kozą i owcą, gdy odważyły się przystąpić do wspólki „z potężnym i dumnym lwem" i chcieć dzielić z nim zyski i straty. Zdobycz miała się dzielić na cztery części: lew przysądził sobie pierwszą jako monarcha, drugą wziął prawem mocniejszego, trzecią zabrał jako najodważniejszy, a o czwartej rzekł: „jeśli ktoś poważy się choćby dotknąć jej, uduszę go natychmiast".

Cesarstwo niemieckie liczy 42 milionów ludności; z tego na Prussy przypada 26 milionów, na Bawaryę 5 mil., Schwarzburg-Rudolstadt ma 80 tysięcy mieszkańców, Schaumburg-Lippe 33,000 — czyż podobna stawić na jednej stopie taki Schaumburg-Lippe i Prusy? Więc nie można zaprzeczyć że w początkach lew okazał się wspaniałomyślnym; w parlamencie Prusy posiadają liczbę deputowanych odpowiadającą swej ludności; w radzie związkowej złożonej z delegatów, mają tylko 17 głosów na 58. Już to zapewnie, gdyby małe skonfederowane państewka były rzeczpospolite, nie obchodzonoby się z niemi z taką względnością; ale że były to królestwa, wielko-księztwa i księztwa więc je uszanowano.

Prusy jednak umiały wynagrodzić sobie znaczne niby ustępstwa poczynione dla związkowych; zapewniły swoją hegemonią łącząc w osobie księcia Bismarcka obowiązki pierwszego ministra pruskiego i kanclerza cesarstwa, w którem kanclerz jest wszystkiem, wszystkiem rządzi, wszystkiem kieruje i dysponuje. Sprawy zagraniczne, marynarka, sądownictwo, administracya dróg żelaznych, finanse, Alzacya i Lotaryngia, wszystko jednem słowem jego podlega władzy, on tylko ma prawo kontrasygnować i jest *niby* odpowiedzialnym za wszystko. Mówię niby, bo taka ogólna odpowiedzialność równa się żadnej. Nie dawno temu profesor uniwersytetu w Rostock, p. Roesler, napisał w znakomitem artykule swoim „że instytucya kancelaryi cesarskiej jest potwornem skupieniem władz nieodpowiedzialnych i nie dających się skontrolować i podciągnąć pod żadną zasadę."

(*d. c. n.*)

# Kronika paryzka

z życia społecznego, nauk, sztuk i literatury.

przez K. G.

**(Dalszy ciąg).**

Wedle zdania pewnego sprawozdawcy paryzkiego, każden z czytelników bez względu na płeć, poświęcił więcej czasu swemu obuwiu aniżeli głębokim wywodom filozoficznym. Szewc, o którym mamy mówić, był niepospolitym, zrobił miliony, a takowe otwierają nawet złociste wrota; probował rozmaitych zawodów w obrębach sztuki już to jako rzeźbiarz już to jako artysta dramatyczny; i nareszcie przy schyłku życia został autorem własnych pamiętników, które już ogłoszone zostały drukiem w języku francuzkim i niemieckim. Rzecz dotycze Grzegorza Józefa Braun, osiadłego w Paryżu w początku bieżącego stulecia i będącego przez czas jakiś jedną z najpopu-

larniejszych postaci miejscowych. Umarł w mieście Fulda w roku 1875 mając osiemdziesiąt sześć lat życia. Pamiętniki jego napisane w języku niemieckim przetłomaczył na język francuzki pan Gustaw Revillied mieszkaniec Genewy, poświęcający znaczną część swoich dochodów na wzbogacanie muzeów i literatury francuzkiej. Utwór ten napisany z całą szczerością maluje lepiej uczciwego dorobkowicza aniżeli stosy nieumiejętnie ułożonych powieści. Jakkolwiek prostota jest wyrazem tych pamiętników, jednakże znać w nich człowieka z wyrobionym pewnym smakiem; nie dotyka on stron szpetnych i rażących nieodłącznych jednak od życia człowieka, a w konieczności jak prawdziwy artysta umie rzucić zasłonę dla zmniejszenia zbytniej jaskrawości obrazu.

Grzegorz Braun urodził się w Fulda w r. 1789. Rodzicami jego byli ubodzy rzemieślnicy dokładający jednak wszelkich starań, aby synowi swemu dać należyte wykształcenie. Młody Braun zrobił znaczne postępy w arytmetyce, w geografii i astronomii, a następnie obrawszy zawód szewca pomieszczonym był jako uczeń w odpowiednim zakładzie. Później odbył podróż pieszo do Paryża, gdzie oprócz pracy na utrzymanie miał jeszcze czas uczęszczać na znakomitsze wykłady naukowe w Sorbonie. Doszedłszy do pewnego zasobu pieniężnego, chciał wracać do rodzinnego gniazda gdy niespodziany wypadek, jak się okazało w następstwach, dla niego bardzo szczęśliwy, zniewolił go pozostać w Paryżu. Braun był mimowolnym świadkiem pojedynku a później uczty wyprawionej na pogodzenie. Biesiadnicy nie mieli pieniędzy na zapłacenie i bohater nie ulegając ogólnej prośbie, zniewolonym był posłać jednego ze swych przyjaciół po zebrany przez siebie zasób pieniężny. Ten raz przyniesiony do miejsca uciechy nie wrócił więcej do rąk swego właściciela. Braun pozbawiony środków do odbycia podróży, został w Paryżu i jest to najbardziej awanturnicza część jego żywota. Nie mając stałej roboty jako szewc, zniewolonym był probować rozmaitych zawodów, o jakich wspomnieliśmy powyżej, a nawet układał wiersze dla pomniejszych teatrów. Potrzeby jego były potrojone, gdyż ożenił się z ubogą panienką i miał młodszego brata na utrzymaniu.

Szewctwo jednak miało wziąść górę nad sztukami pięknemi i poezyą, w tym bowiem kierunku fortuna uśmiechnęła się łaskawie do naszego bohatera. Pewnego poranku zapukano do ubogiego mieszkania Brauna położonego na piątem piętrze. Był to Lesier słynny w owym czasie nauczyciel konnej jazdy.

— Zgłaszałem się, rzekł, już do trzech szewców nadaremno, cała moja nadzieja spoczywa w panu. Mam nadzwyczajnie grube łydki, skutkiem tego cholewy od moich butów są zanadto szerokie w kolanach, co jest nadzwyczajnie nieprzyjemne dla profesora konnej jazdy.

Potrzebuję zatem takiego obuwia, w któreby łydki weszły łatwo, a mimo tego aby kolana były ściśnięte należycie.

Trudność była niemała, jednakżeż Braun wywiązał się szczęśliwie z zadania co było wstępem do pomyślniejszego bytu. Braun umiał wyciągać korzyści z każdej nastręczonej sposobności, w r. więc 1830 zapisany został do gwardyi narodowej, chociaż jako cudzoziemiec wolnym był od tego obowiązku. Wszedł do korpusu grenadyerów, pomimo że sam kask z włosiem kosztował sto dwadzieścia franków, i dla tego ten rodzaj broni miał zazwyczaj najmajętniejszych właścicieli.

— Przyszła chwila nareszcie, pisze Braun w swoich pamiętnikach, do zrobienia znacznych stosunków i rozszerzenia rozmiarów mej pracowni. Rewolucya z r. 1830, niech jej Bóg da zdrowie za to, wytworzyła zasadę braterstwa nadzwyczaj dla mnie pożyteczną. Zostałem wielkim zwolennikiem postępu i przeobrażenia społecznego. Każde wstrząśnienie zbliżające rozmaite warstwy narodowe jest błogosławieństwem bożem, bo w ten lub inny sposób ułatwia przepływ pieniędzy z jednych kieszeni do drugich.

Jednakże jako zwykły szewc, prawdopodobnie Braun nie byłby się dobił wielkiej popularności, ale na szczęście przypomniał sobie o posiadanych zdolnościach autorskich.

Ułożył więc kilka piosnek na tle wypadków zaszłych w Paryżu; utwory te znalazły powodzenie, oprócz oklasków sprowadziły Braunowi coraz liczniejsze obstalunki. Dawanym on był za wzór pod względem ścisłości w pełnieniu obowiązków żołnierskich, chociaż patryotyzm nie był w tej mierze jedyną pobudką.

— Dążyłem zawsze do jednego celu, mówi w swoich pamiętnikach, to jest do powiększenia liczby moich klientów. Ile razy byłem na służbie przyniosłem pięć lub sześć nowych obstalunków.

Dla zrobienia jednak wielkiego majątku potrzeba było szukać innego jeszcze środka, to jest zmienić rodzaj mody, czyli zostać na tem polu prawodawcą. Braun był wielkim znawcą ludzi, wyśmiał więc przedewszystkiem młodych elegantów za noszenie takiego samego obuwia jak chłopcy sklepowi; wedle jego zdania, nosy spłaszczone i szerokie u butów wypadało zostawić warstwom uboższym, a bogaci panicze nosić powinni buty ze śpiczasto-zadartemi nosami. Początkowo pomysł ten znalazł pewien opór we lwach stolicy i Braun potrzebował aż w poezyi szukać środka do propagandy. W ułożonej satyrze wyśmiał dawną formę obuwia, co ostatecznie przełamało trudności i nowy krój butów pozyskał prawo obywatelstwa.

Braun używał odtąd wielkiej powagi w Paryżu.

Ostatecznie mieszkał w najbogatszej części Paryża, ale na trzeciem piętrze. Objawił więc raz obawę, czy czasem nie mieszka za wysoko dla tyle znakomitej klienteli?

Na to odpowiedział książę de la Rochefoucauld-Liancourt.

— Gdybyś pan nawet mieszkał na szczycie wieży panny Maryi, to jeszcze pójdziemy do ciebie.

Pamiętniki Brauna stwierdzają raz jeszcze jeden tę starą prawdę: że wszechstronne ukształcenie jest użytecznem człowiekowi w każdem bez wyjątku stanowisku. Braun jako zwykły szewc byłby umarł w biedzie i nieznany, jako szewc-poeta dobił się popularności i milionów.

*(d. n).*

# O zakładzie rękodzielniczym dla kobiet.

(Plac Zielony Nr. 10).

W ostatnim roku liczba uczennic w zakładzie rękodzielniczym dla kobiet znacznie się zmniejszyła.

Ponieważ niektóre z pism peryodycznych w sprawozdaniach swoich oświadczyły, że wina tego stanu rzeczy musi leżyć w samym zakładzie, czujemy się w obowiązku dać obraz ogólny jego rozwoju i usiłowań w kierunku postępu rozwiniętych.

I tak:

Dla kontrolowania pedagogicznego systemu w zakładzie ustanowioną została rada nadzorcza, która odbywa posiedzenia w miarę potrzeby pod kierunkiem przewodniczącego. W skład ten wchodzą wszyscy nauczyciele i nauczycielki oraz ich zastępcy.

Oprócz rzemiosł wymienionych w poprzedniem sprawozdaniu, wykładane sę następujące nauki:

Rachunkowość handlowa, Buchalterya i korespondencya handlowa. Gospodarstwo domowe, Gospodarstwo wiejskie. Ogrodownictwo, Higiena, Pedagogia, Logika, Psychologia, Estetyka i Etyka.

Zakład posiada specyalnie uzdolnione nauczycielki i nauczycieli z których każdy ma zastępcę; niemożebną jest zatem przerwa w wykładzie.

Dwie godziny dziennie (tygodniowo godzin 12) przeznaczone są na wykład jednego rzemiosła; jedna zaś godzina dziennie (tygodniowo godzin 6) na naukę.

Opłata za naukę może być wnoszoną miesięcznie i jest, o ile można, umiarkowaną. W miarę zgłaszania się większej liczby uczennic, opłata zostanie obniżoną.

Zakład bezustannie zbiera wiadomości o uczennicach wyszłych z pod jego opieki i ogłasza takowe w sprawozdaniach rocznych, ażeby donieść publiczności, o ile one z odbytych nauk potrafiły skorzystać.

Oto jest obraz działalności samego Zakładu, świadczący jasno o chęciach jak najlepszych osób na jego czele stojących. Że chęci te nie przynoszą właściwych owoców, że działalność tej tak pożytecznej instytucyi, co do liczby uczennic, w roku zeszłym nie odpowiedziała spodziewanemu oczekiwaniu, to bliżej z przedmiotem tym oznajmieni, przyczyny tego każą szukać w braku wytrwałości pracownic, któreby pragnęły bez wysiłku i trudu zdobyć sobie niezależne stanowisko.

*Ludwik Niemojowski.*



Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 4 (16) Мая 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

**Dodatek.**

## Opis do N. 19.

(Dokończenie).

**N. 19. Ubranie** dla młodej panienki. Krój stanika jak do ryciny 3 i 4.

Suknia sięgająca tylko do ziemi jest z aksamitu lub kaszmiru z przybraniem z materyi faille tego samego koloru. Plisowanie u dołu sukni liczy 12 cent. Przedni bryt trochę nadmarszczony przeszyty jest skośnie plisą u dołu 19 w górze 12 cent. szeroką. Na staniku dany szalowy wykład z plisy złożonej w trzy fałdy; takiż pasek 5 cent. szeroki; guziczki złote. Kapelusz formą berecika z czarnej słomki, zdobny aksamitem i piórami.

**N. 20 i 27. Ubranie** spacerowe. Krój paletota na arkuszu N. II, Fig. 4—9.

Paletocik z tego co suknia materyału stanowi i w tym roku najodpowiedniejsze dopełnienie skromnego spacerowego ubrania; strojniejsze okrycia stanowią zręczne mantyle, których różne fasony podajemy w Tygodniku.

Paletocik przedstawiony z przodu na ryc. 20 a z tyłu na ryc. 27 dopasowany podług formy Fig. 4—9; przody szeroko zachodzące na siebie, zapinają się dwoma rzędami guzików, u góry zaś odłożone są w wykłady i wszyte w kołnierz, pokryty zwierzchu materyą faille; rękawy zdobne plisą jedwabną 12 cent. szeroką. Kapelusz z popielatej słomki przybrany piórem i wstążką z odmienną lewą stroną.

**N. 21 i ryc. 6 w N-rze 18. Sukienka** dla dziewczynki lat 6—8. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 32—35.

Sukienka formą princesse z materyału wełnianego w kratkę zapinana wzdłuż przodów na guziki, ozdobiona plisowanemi falbankami, wypustką z gładkiego materyału daną przy potrójnej pelerynce, wykładach u rękawów i kieszonce, małemi metalowemi guziczkami i kokardami z wstążki. Przody i plecy ukrojone podług Fig. 32—33 mają podszewkę z perkalu; część fałdowana dodana u dołu pleców (120 cent. szeroka) podszywa się muślinem. Rękaw kraje się podług Fig. 29 z przeszłego dodatku dolny brzeg odznaczony jest cienką gładką liniją; mankiet pasuje się na rękawie kropką do kropki. Krój potrójnej pelerynki podaje Fig. 35, każda jej część kraje się oddzielnie podkłada muślinem i podszewką a pod szyją wszystkie trzy części wszywa razem z wykrojem sukni w wązki paseczek. Pelerynkę zastąpić można marynarskim kołnierzem jaki podaliśmy na ryc. 6 w N-rze 18, przedstawiającej plecy tej samej sukienki; formę kołnierza podaje Fig. 30.

**N. 22. Płaszczyk** do ubrania spacerowego lub podróżnego. Krój na arkuszu N. V, Fig. 19—21-a.

Płaszczyk z jasno bronzowego kaszmiru (cachemire pur) przedstawiony na ryc. 22 jest bardzo zbliżony formą do paletota załączonego na ryc. 20 kraje się nawet podług tej samej formy Fig. 4—9, przedłużając ją tylko podług miar wypisanych na zmniejszonym formacie Fig. 19—21-a. Przody zwężone są o 5 cent. bo nie zachodzą tak głęboko na siebie jak u paletota; krój pelerynki załącza Fig. 20, z odznaczeniem cienką linią krótszej zwierzchniej pelerynki; kołnierz wykładany kraje się podług Fig. 21. Przybranie stanowią wypustki i frendzla wełniana 8 cent. szeroka; wykłady na rękawach są 15 cent. długie.

**N. 23 tudzież ryc. 2 w N-rze 18. Suknia** z vêtement. Krój na arkuszu N. XI, Fig. 44—46.

Rycina 2 w N-rze 18 przedstawia przód sukni z mohairu ciemno-oliwkowego koloru, którą z odmiennym garnirunkiem załączyliśmy na ryc. 23 w przeszłym N-rze. Fig. 44—45 podaje tylko górne części formy które od strzałek przedłużyć trzeba do miar wypisanych na Fig. 46 załączającej całe vêtement w zmniejszonym formacie. Każda połowa przodów jest odmienna z powodu skośnego zapięcia i układu; połowa przodów Fig. 44-a złożona jest w poprzeczne fałdy po 8 cent. głębokie zakładane podług linii prostych w odstępach 16 cent., krótsza połowa Fig. 44-b która wysunięta jest u dołu (przy złączeniu z fałdowaną połową) na 9 cent. dłużej, z boku od krzyżyka do gwiazdki na długości 32 cent. marszczy się tyle aby cała długość boczna wynosiła 108 cent. Obiedwie połowy pleców Fig. 45-a i 45-b krają się podług wskazanej miary długości i dopełniają dodanym od spodu brytem Fig. 46. Po zszyciu z sobą pleców zbywająca szerokość zakłada się od spodu w podwójną kontrafałdę a brzegi boczne pleców łączą się z przodem fałdowanym na 53 cent. wzdłuż od C a z przodem marszczonym na 76 cent. wzdłuż. Dla ułożenia draperyi podług ryc. 23 boczny brzeg pleców poniżej szwu 53 cent. długiego założony jest w fałdę 8 cent. głęboką, z drugiego zaś boku składają się fałdki podług krzyżyków i kropek w kierunku okrągławym, tak że dolna szerokość pleców tylko 38 cent. wynosi i zwraca się do góry przez zfałdowanie boczne. Prosty bryt dodany do pleców, jest od strony fałdowanego przodu, na 40 cent. wzdłuż, w miejscu oznaczonem krzyżykami i kropkami, zfałdowany do 8 cent., u góry zaś podług kierunku linii kropkowanej ułożony w fałdy od dwukropka, do dwukropka przez co zwęża się do 16 cent., poczem wszyty jest w wązki pasek; bryt ten łączy się z przodami od miejsc oznaczonych dwukropkiem (patrz Fig. 44-a i b) aż do brzegów dolnych; zbywająca jego długość przy przodzie fałdowanym wynosi 34 cent. a przy marszczonym 43 cent.

Przybranie vêtement ryc. 23 stanowi 6 cent. szeroki szlak wyszyty jedwabiem do cieniu i frendzla 12 cent. szeroka; na ryc. 2 widzimy szeroką frendzlę i pasmanteryę naśladującą riuszę z piór jaką ryc. 16 przedstawia. Dół sukni zdobi plisowanie 12 i 8 cent. szerokie.

**N. 25. Ubranie** do żałoby. Krój sukni princesse patrz ryc. 11—12.

Suknia princesse i paletot z matowego wełnianego materyału ozdobione plisowaniem i gładkiemi plisami. Kapelusz przysłonięty wielkim kwadratowym woalem z krepy, zarzuconym z wierzchu.



N. 1. Ubranie dla chłopca lat 5—7. N. 2. Ubranie małej dziewczynki. Patrz ryc. 5. N. 3. Ubranie dla chłopczyka. N. 4. Ubranie dla młodej panienki. N. 5. Ubranie małej dziewczynki. Patrz ryc. 2.

**N. 28. Ubranie** dla młodej osoby.

Suknia princesse z beżu piaskowego, dopasowana podług kroju ryc. 11—12, zapięta wzdłuż przodu na guziki; tylko dolny rzęd falbany idzie na około sukni, dwa wyższe dochodzą tylko do tylnego bryta i spięte są kokardami. Zarzutka z chustki włóczkowej oszytej riuszą naśladującą pióra. Kapelusz pasterski słomkowy opasany wstążką przepiętą kwiatami.

**N. 29. Ubranie** spacerowe. Krój paletota patrz ryc. 20.

Spódnica i vêtement z bronzowego dyagonalu; spódnicę zakończa szeroka falbana ułożona w kontrafałdy, vêtement ozdobione galonem i wąziutką skośną falbaneczką. Okrycie stanowi paletocik z czarnego kaszmiru, zdobny wzdłuż przodów wykładami z czarnego jedwabnego repsu naszytemi pasmanteryą i koronką daną z boków, u dołu wykładów dana kosztowna frendzla. Rękawy ubrane odpowiednio; kołnierz repsowy związany wstążką.

**N. 30. Koronka** z siatki gipiórowej z brzegiem dzierganym.

**N. 31. Kwadrat** wyszyty ściegiem krzyżykowym.

**N. 32. Wszywka** wywodzona na tiulu.

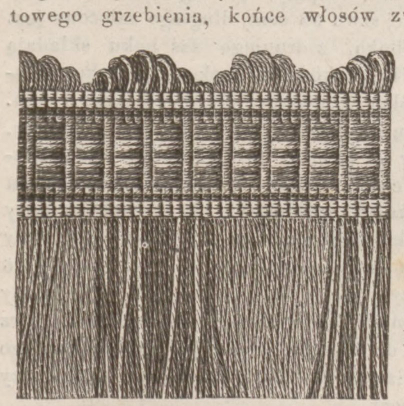
**N. 33—34. Uczesanie** dla młodej panienki.

**N. 33. Uczesanie** z warkoczem.

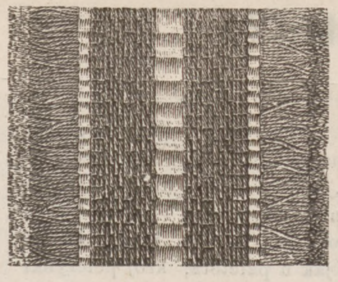
Nadaje się przy włosach grubych a nie długich; wszystkie włosy odczesane do tyłu są z boków przepięte grzebykami z tyłu zaś dość lekko splecione w jeden warkocz którego koniec jest podwinięty i przypięty od spodu.

**N. 34. Uczesanie** bez splatania włosów.

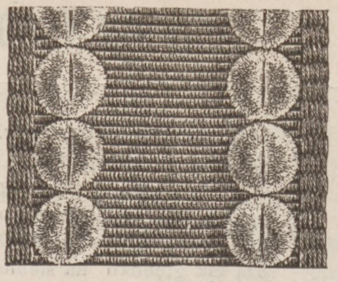
Z przodu wszystkie włosy odczesane są w górę na podkładce lub bez, z tyłu związane są razem i zwinięte w gruby splot, który otoczony jest na około szyldkretowego grzebienia, końce włosów zwinięte w loki, puszczone są fantazyjnie z jednej strony. Jeżeli włosy są cienkie to trzeba wsunąć krepinę i około niej zwinąć cały skręt włosów.



N. 8. Torsada z szeroką frendzlą.



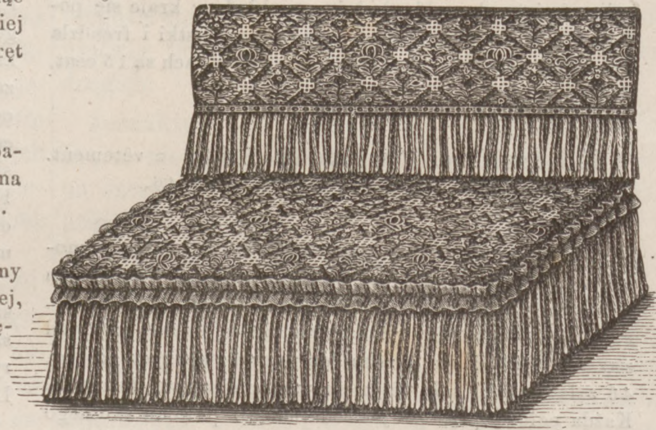
N. 6. Pasmanterya z frendzelką z brzegów.



N. 7. Pasmanterya w muszki sznelowe.

**N. 35. Kosz** do papierów. Deseń na arkuszu Fig. 91.

Kosz z trzciny czarnolakierowanej, na nóżkach wygiętych przeznaczony jest do buduaru damskiego; ścianki tekturowe powleczone są z jednej strony materyą, ze zwierzchniej zaś suknem na którem filozelowem jedwabiem wyszyty jest deseń w guście tureckim, ściegiem łańcuszkowym i luźnym podług Fig. 91, podający połowę deseniu brzeżnego a środkową arabeskę całą. Kwaściki jedwabne.



N. 12. Otomanka. Patrz ryc. 13 i 10.

**N. 36. Szlak** wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony; do serwet, ręczników i t. p.

Za tło pod haft służy kanwa jawa lub grube płótno; jeżeli ma być szlak dany na cienkiem płótnie to potrzeba w niem wyciągnąć nitki poprzeczne i podłużne w ten sposób aby odznaczyć równą kratеczkę, ułatwiającą wyszycie deseniu.

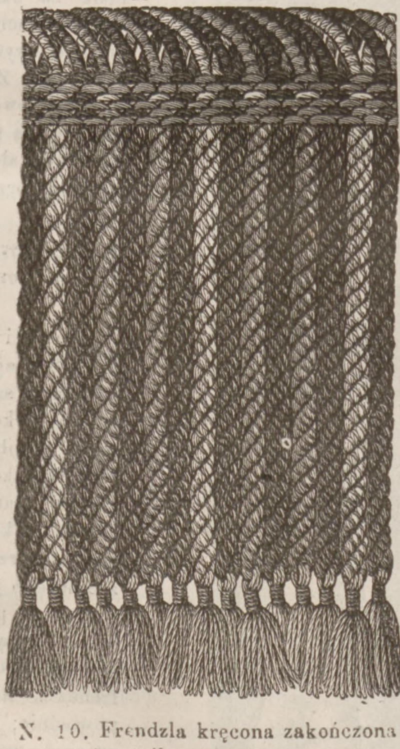


N. 14. Szlak do serwetek lub t. p.

## Opis do N. 20.

**N. 1. Ubranie** dla chłopczyka lat 5—7. Krój podług ryc. 8—9 w N. 18 Tygodnika.

Żakieta i majtki są zrobione z jednakowego, gładkiego materyału; fryzka, mankiety i oszycie krótkich majtek jest z marszczonej nicianej koronki.



N. 10. Frendzla kręcona zakończona kwaścikami, do ryc. 12.



N. 13. Haft na materyale meblowym w deseń; do ryc. 12.

**N. 2 i 5. Ubranie** dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 20—21 w N. 18 Tyg.

Gładki, półwcinany paltocik z dużym dwoistym kołnierzem, zapinany z przodu na dwa rzędy guzików, odrobiony z takiego materyału jak sukienka, służy do dopełnienia ubrania spacerowego, dla kilkoletniej dziewczynki. Rycina 2 przedstawia z przodu paltocik blado-niebieski kaszmirowy, 3 lub 4 razy przestębnowany u dołu, przy rękawach i kołnierzach. Sukienka formą princesse oszyta jest u dołu koronką białą i skośnemi pliskami. Na ryc. 5, podajemy paltocik i sukienkę białą kaszmirową, z wypustkami z materyi kolorowej, danemi nad obrębem falbany z przodu plisowanej, z tyłu w kontrafałdy, przy klapkach zdobiących u dołu plecy paltocika, przy kołnierzach, kieszonce i mankietach. Małe guziczki naszyte na klapkach, i większe do zapięcia przodów są złocone.



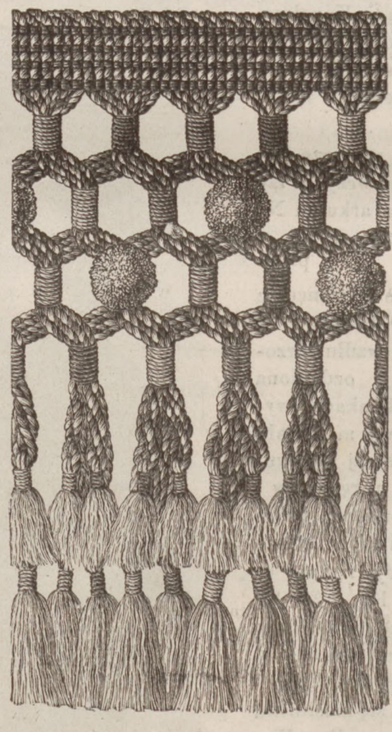
N. 9. Torsada z frendzlą kwaścikową.

**N. 3. Ubranie** dla chłopczyka do lat 4. Krój podług ryc. 30—31 w N. 6 Tygodnika Mód.

Dla chłopczyków do lat czterech krój sukienek jest taki sam jak dla małych dziewczynek. Na ryc. 3 podajemy skośnie z przodu zapinaną sukienkę princesse, z popielatej popeliny, do której pleców wszyte są u dołu części fałdowane, stanowiące dwie zachodzące na siebie falbany. Te części zarówno jak wązkie falbanki z przodu, kieszonka i mankiety, objęte są wypustką z popielatej materyi. Kołnierz marynarski haftowany na batyście.

**N. 4. Ubranie** dla niedorosłej panienki. Krój princesse podług ryc. 2—3 w N. 6 Tygodnika.

Suknia princesse zapinana z tyłu odrobiona była z materyału wełnianego w drobną kratkę i gładkiego. Na widocznej na ryc. 4 podpięcie, przydłuża się plecy w krajaniu, a następnie przy zeszyciu z boczkami, dodaną długość zaszywa w 4 fałdy; z jednego boku przy podpięciu, daje się kokardy 9 cent. szerokie z gładkiego materyału, z którego są także rękawy, plisa 4 cent. szeroka i 6 cent. szerokie plisowanie. Falbanki z materyału w kratkę układane w kontrafałdy są 6 i 4 cent. szerokie.



N. 11. Frendzla z siatkowym nagłówkiem, zakończona podwójnemi kwaścikami.

**N. 6 — 11. Bórty i frendzle do firanek, portyer i mebli.** N. 27—28 w N. 21 Tygodnika Mód. Sznury i kwasty do portyer lub firanek.

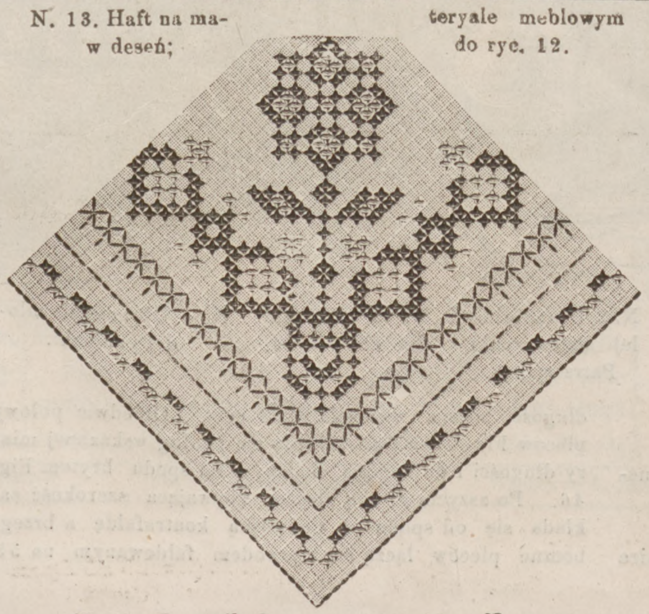
Tak bórty czyli torsady jak frendzle i sznury powinny być odrobione w kolorach odpowiednich do przykrycia mebli i obicia pokoju Próbki najświeższych torsad podane są w naturalnej szerokości, próbki zaś frendzli w zmniejszeniu.

**N. 6. Bórta** z bronzowej włóczki, zakończona z brzegów wązką ciemno oliwkową frendzelką i przerabiana jasno-oliwkowemi jedwabnemi paskami.

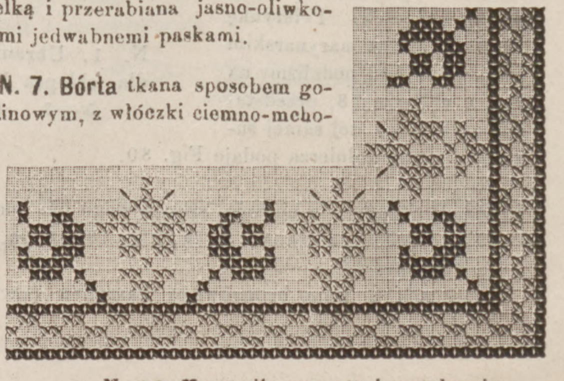
**N. 7. Bórta** tkana sposobem gobelinowym, z włóczki ciemno-mcho-



N. 16. Narożnik wyszyty krzyżykami.



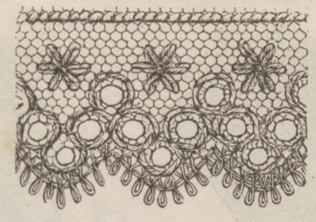
N. 15. Narożnik do serwety ryc. 23 w N-rze 21.



N. 17. Narożnik wyszyty krzyżykami.

wego koloru, ozdobiona z brzegów groszkami jaśniejszemi szenelowemi.

**N. 8. Bórta** z szeroką frendzlą. Tak torsada jak i frendzla robione są z włóczki cienkiej nie kręconej, blado-żółtego koloru przetykanej pojedyńczemi nitkami jedwabiu jasno-niebieskiego oliwkowego, jasno i ciemno różowego.



N. 18. Koroneczka wywodzona na tiulu.

**N. 9. Bórta** z włóczki ponsowej, przerabiana cienkiemi jedwabnemi sznureczkami, żółtemi, zielonemi, czarnemi niebieskiemi i białemi. Kwaściki wiszące u dołu na sznureczku ponsowym są maisowe, przewiązywane pelą białą.

**N. 10. Frendzla** gruba, kręcona, zakończona kwaścikami.

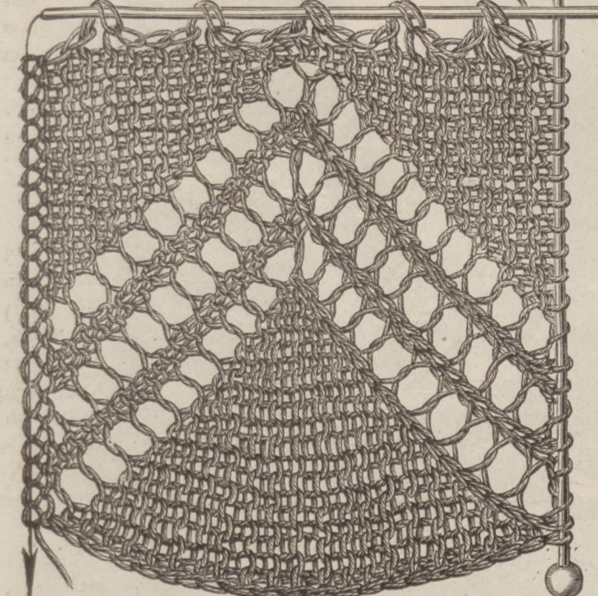
Frendzla 20 cent. szeroka, składa się z grubych sznureczków wełnianych, zakończonych małemi kwaścikami jedwabnemi. Tło stanowi kolor ciemnobronzowy, do którego domięszana jest włóczka ponsowa, zielona, czarna i niebieska. Odpowiednie sznury do portyer i firanek zobaczyć na ryc. 28 w N. 21 Tygodnika.



N. 20. Kapelusz słomkowy.

**N. 11. Frendzla** siatkowa 18 cent. szeroka, zakończona dwoma rzędami kwaścików.

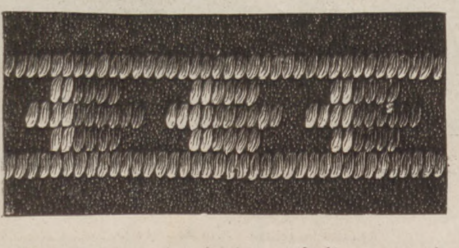
Promienie frendzli składają się z cienkich jedwabnych sznureczków kręconych z nitek mieszanych koloru jasno-bronzowego, zielonego, białego, niebieskiego, ponsowego i czarnego, które nakształt siatki przewiązane są filozelą w takichże kolorach, a gdzie niegdzie ozdobione różno-kolorowemi kulkami. U dołu frendzla



N. 24. Wykonanie roboty na drutach, do chusteczki ryc. 23—24.

zakończona jest dwoma rzędami kwaścików pelowych.

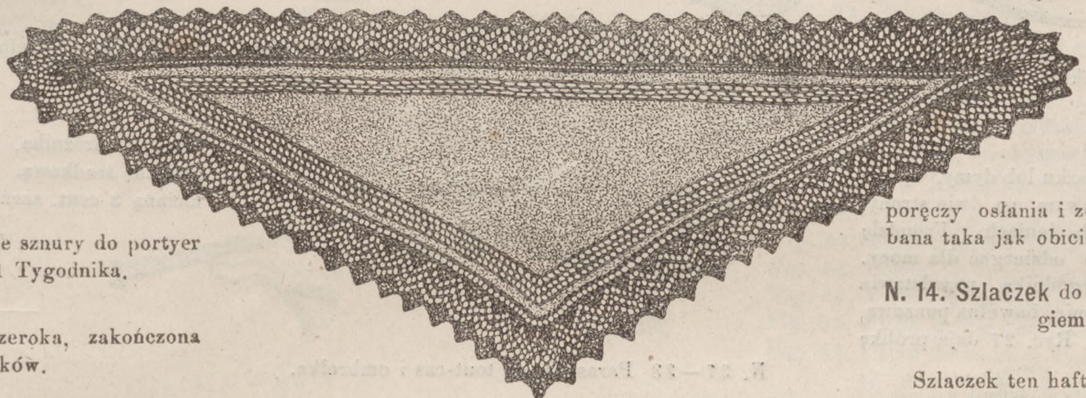
W N. 21 Tygodnika, na ryc. 27 i 28, podamy dwa sznury z kwastami, służące do przytrzymania firanek lub portyer. Takie grube sznury skręcone z różno-kolorowej włóczki lub jedwabiu, mające 108—110 cent. długości, powinny być złożone podwójnie, przewleczone przez baryłeczkę szmuklerską i zakończone kwastem 25—30 cent. długim. Ryc. 27 przedstawia sznur jedwabny ze złotem, ozdobiony grelotkami, i tarczą płaską na której wyhaftowany jest złotem monogram.



N. 26. Szlaczek ściegiem gobelinowym, do ryc. 30 w N-rze 21.



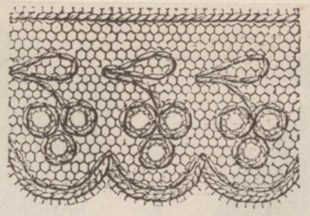
N. 22. Chusteczka robiona na drutach. Patrz ryc. 23—24.



N. 23. Chusteczka z cienkiej włóczki robiona na drutach. Patrz ryc. 24.



N. 28. Chustka z czarnego tiulu.



N. 19. Koroneczka wywodzona na tiulu.

**N. 12—13. Otomanka** haftowana.

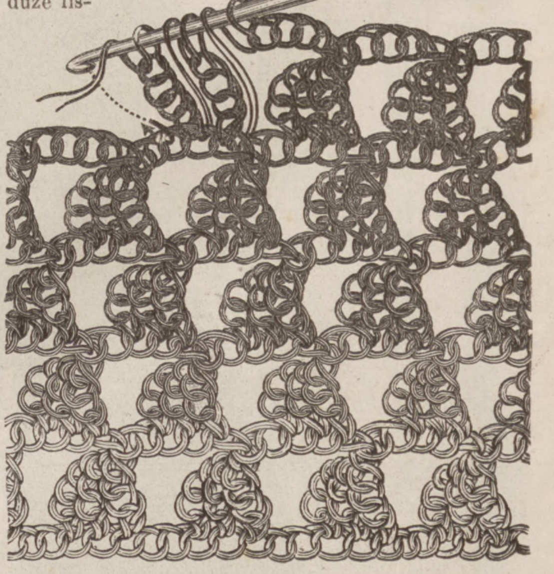
Taka otomanka służyć może do pokoju sypialnego, do buduaru, albo nawet do bawialnego pokoju przed kominek albo w okno. Stosownie do przeznaczenia dobiera się mniej lub więcej kosztowne obicie i ozdoby. Podstawę sofki stanowi mocna skrzynka drewniana 150—160 cent. długa, 50 cent. szeroka, a 35 wysoka, do której z tyłu dodana jest poręcz 44 cent. wysoka. Na płaskim jak deska wieku skrzynki daje się wypukły, miękko wysłany materac siedzenia, który zarówno jak i wyściełana poręcz obija się kretonem, wełnianem lub jedwabną deseniową materyą meblową; model miał obicie w deseń kolorowy, którego kontury obhaftowane były włóczką „Crevel" w odpowiednich kolorach. Próbkę haftu w naturalnej wielkości, podajemy na ryc. 13. Zamknięcie wieka czyli siedzenia, zasłania riusza ułożona z podwójnego materyału boki skrzynki i dolną część poręczy osłania i zdobi gruba kręcona frendzla, albo falbana taka jak obicie.



N. 21. Kapelusz koronkowy.

**N. 14. Szlaczek** do serwetek do mebli lub t. p. Haft ściegiem płaskim i podwójnym.

Szlaczek ten haftować można na batyście, płótnie wiedeńskim lub t. p. materyale, różno-kolorowym jedwabiem albo bawełną do haftu, ściegiem płaskim i podwójnym, czyli jednakowym na dwie strony. Na modelu środek kwiatów i liści zapełniony był gęsto rzędami ściegów przeszywanych tam i na powrót, a następnie brzegi były obwiedzione innym cieniem, takim samym ściegiem; kwiaty dwoma cieniami ponsowemi, duże liś-



N. 25. Brzeg szydełkowy do chusteczek włóczkowych.

cie dwoma cieniami lila, małe listki kolorem zielonym. Resztę listków i grubą, giętą gałązkę w środku robi się ściegiem płaskim, jedwabiem żółtym lub nitką złotą. Podobne szlaki robione na batyście i dawane na przemian z kwadratami siatkowemi lub koronkowemi, stanowią śliczną całość.

**N. 15—17 i 27. Szlaczki** i narożnik do przykrycia na półeczki albo do koszyczka. Całe przykrycie zobaczyć w N. 21 ryc. 23 i 24.



N. 27. Szlaczek do ryc. 24 w N-rze 21.

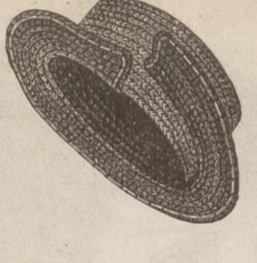
Ryc. 15—17 i ryc. 23 w N. 21 Tygodnika, przed-



N. 34. Kapelusz z tego co suknia materyału. Patrz ryc. 35.



N. 29. Kapotka z ażurowej słomki zakończona grelotkami.



N. 30. Kapelusz bastowy z przeciętem rondkiem.



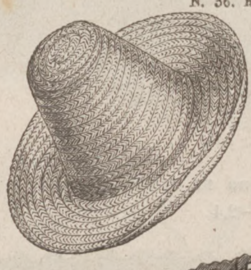
N. 31. Kapotka bastowa z wysokiem dyademowem rondem.



N. 36. Klamerka do paska.



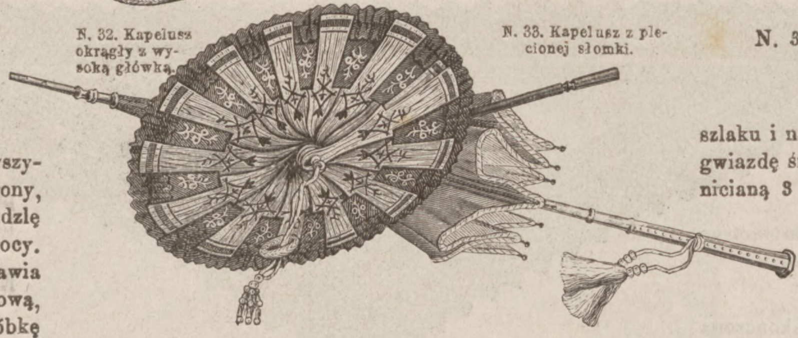
N. 35. Kapelusz z tego co suknia materyału. Patrz ryc. 34.



N. 32. Kapelusz okrągły z wysoką główką.



N. 33. Kapelusz z plecionej słomki.



N. 37—38. Parasolik en-tout-cas i ombrelka.

stawia przykrycie z gładkiego adamaszku lub dymy, wyszyte ściegiem krzyżykowym i jednakowym na dwie strony, bawełną niebieską turecką, w dwóch cieniach. Frendzlę z brzegu trzeba wysiepać i rzadko odziergać dla mocy. Ryc. 27 i ryc. 24 w N. 21 Tygodnika, przedstawia przykrycie robione na cienkiem płótnie, bawełną ponsową, ściegiem sznureczkowym i płaskim. Ryc. 27 daje próbkę szlaku i narożnika, podług którego łatwo można ułożyć gwiazdę środkową. Brzegi przykrycia oszyte są koronką nicianą 3 cent. szeroką, wywodzoną bawełną ponsową.

*Dokończenie nastąpi.*



N. 29. Ubranie spacerowe. N. 40. Płaszczyk dla dziewczynki.



N. 41. Negliż. N. 42. Suknia z vêtement princesse.